



Holly Jacobs

Tylko Amelia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Prognoza dla regionu jeziora Erie w Pensylwanii. Spodziewane są opady śniegu, miejscami bardzo obfite. Może spaść od trzydziestu kilku centymetrów do ponad pół metra. Mamy przed sobą kolejną zimę. To pocieszające, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Amelia Gallagher energicznie wyłączyła radio. Bardziej energicznie, niż trzeba. Dla niej może się zmieniać. Tylko co to za zmiany? Że będzie jeszcze więcej śniegu?

Jeszcze więcej śniegu.

- Z taką miną wystraszysz nam wszystkich klientów - rzucił od progu wchodzący do firmy Larry Mackenzie.

Patrzyła w milczeniu, jak idzie, zostawiając za sobą białe ślady. Nie raczył otrzepać butów ze śniegu.

Przystojny facet. Wysoki, atrakcyjny brunet. Takie określenia nasuwały się same, ledwie człowiek zawiesił na nim oko. Ale ona wie lepiej. I nie ocenia ludzi po wyglądzie, a po czynach. A Larry uwielbiał się z nią kłócić...

Oczywiście nie pozostawała mu dłużna i odpłacała pięknym za

nadobne.

Nalegał, by zwracać się do niego Mac, bo jego imię nie pasuje do adwokata. Inni od razu na to przystali, ale ona zawsze mówiła do niego „Larry”.

- Larry - zagała.

- Mac - poprawił ją po raz tysięczny. Zdusiła uśmiech.

- Zobacz, ile naniósł śniegu. Nie mam zamiaru tego sprzątać.

Skrzywił się. Dobrze mu dopiekła. Ten grymas to balsam na jej duszę.

Podawała mu kilka kartek.

- Gdy byłeś w sądzie, trzy razy dzwoniła do ciebie pani Kim Lindsay. Prosiła, byś jak najszybciej się do niej odezwał. To coś pilnego.

Popatrzył na notatkę, zastanowił się.

- Lindsay... Kim Lindsay? Nie kojarzę. Nie powiedziała, w jakiej sprawie?

Amelia wzruszyła ramionami.

- Larry, ja tylko odbieram informacje, nie wypyuję rozmówcy o życiorys. Prawdopodobnie poznałeś ją kilka dni temu w barze. I już zapomniałeś.

- Syn Marka obchodził bar micwę. Poza tym nie było żadnego baru.

- Bardzo zabawne, Larry.

Tak mu się pewnie wydaje - że jest zabawny.

Choć gdy głębiej się nad tym zastanowić, to coś w tym jest.

Większość ludzi podziela taką opinię. Uważają go za zabawnego. Jej nasuwają się całkiem inne określenia.

Denerwujący.

Egotystyczny.

Irytujący.

Nonszalancki.

Denerwujący... Och, to już było.

Uderzająco przystojny, jeśli ktoś ocenia jedynie powierzchowność. To jej nie dotyczy. Po prostu zdarzają się momenty, że się zapomina. I wtedy z przyjemnością na niego patrzy.

Teraz też prezentował się wspaniale. Roześmiany, bo wydaje mu się, że jej dopiekl. Gdyby to był ktoś inny, ten wesoły błysk w oczach na pewno by ją ujął.

Ale Larry Mackenzie z założenia nie może być uroczy.

Odepchnęła od siebie te niewłaściwe myśli i popatrzyła na kałużę z roztopionego śniegu.

No właśnie. Oto cały Larry. Od razu poczuła się nieco pewniej.

Denerwujący facet.

Skoncentrowany wyłącznie na sobie.

Westchnęła. Znowu powtarza to, co już było. Musi ruszyć głową i znaleźć kilka nowych pasujących do niego przymiotników. Żeby w razie czego mieć je na podorędziu.

- Jeśli nie możesz przestawić się, by mówić do mnie Mac, może zwracaj się do mnie po nazwisku?

- A może będzie prościej, jeśli zacznę mówić... Zabrakło jej słowa, ale na szczęście nie musiała kończyć.

Wchodzący do firmy Elias Donovan, nowy wspólnik kancelarii adwokackiej Wagner, McDuffy, Chambers and Donovan, wybawił ją z opresji.

- Cicho, dzieciaki. Jak będziecie sobie dogryzać, postawię was w kącie. Otrzeptał buty ze śniegu. Ten przynajmniej umie się zachować. Nie to, co niektórzy.

- Rozdzielenie byłoby całkiem pożądane, zwłaszcza gdy chodzi o Larry'ego i mnie.

Mac, nie odzywając się więcej, ruszył ku schodom, kierując się do swego pokoju.

- Musisz tak się z nim droczyć? - zapytał Donovan.

- Nie. Podobnie jak nie muszę codziennie czyścić zębów, ale robię to, by były w dobrej formie. Lubię się z nim przekomarzać. Dzięki temu szlifuję dowcip.

Donovan zaśmiał się i ruszył na górę do siebie. Odwrócił się na schodach.

- W razie gdybym zapomniał... Daj mi znać, czy w poniedziałek podwieźć cię do pracy. Jeśli będzie śnieżyca, nie dojedziesz swoim samochodem.

- Dzięki, Donovan.

Jest naprawdę fajny... nie to, co niektórzy.

Mac wcale by się nie przejął, gdyby utknęła gdzieś w połowie drogi między domem a biurem. A Donovan tak. Jesienią kupił sobie terenówkę z napędem na cztery koła i już kilka razy podrzucał Amelię do pracy i do domu, gdy zdarzała się wyjątkowo nieprzyjemna pogoda.

Jasne, że jej bliska znajomość z jego żoną odgrywa niebagatelną rolę w ich wzajemnych kontaktach. Sarah martwi się o nią i pewnie podpowiada mężowi, by występował z taką inicjatywą. Choć nie jest najważniejsze, kto go inspiruje. Donovan jest naprawdę miły. Ma rację, że

jej samochód nie sprawdzi się, jeśli napada tyle śniegu, ile zapowiadają.

Jej auto już dogorywa. W każdej chwili może odmówić posłuszeństwa. Do tej pory nie mogła nawet pomarzyć o kupnie nowego, ale teraz otwiera się taka perspektywa. Wpłaciła ostatnie czesne za studia brata. Wreszcie zacznie odkładać na samochód.

Zupełnie nowy. Nowkę prosto z salonu.

Będzie pachnieć nowym samochodem.

Libby, jej przyjaciółka, niedawno kupiła sobie nowy samochód. Z elektrycznie podgrzewanymi siedzeniami. Naciska w domu pilota, i samochód zaczyna pracować. Po pięciu minutach wchodzi do ogrzanego auta i siada w podgrzanym fotelu.

Och, czegoż to ludzie nie wymyślą! Jakie wspaniałe udoskonalenia!

Jeszcze trochę, a odłoży odpowiednią sumę, by kupić sobie coś podobnego. Przez tyle lat jej potrzeby schodziły na bok. Wszystkiego sobie odmawiała, by starczyło na kształcenie braci. Teraz to się zmieni. Nadszedł czas na nią.

Ojciec odszedł od rodziny, gdy Amelia była małą dziewczynką. Zresztą już wcześniej, choć mieszkali pod jednym dachem, nie był z nimi związany.

Nie rozpaczała po jego odejściu. Ale gdy zmarła mama, nie mogła się z tym pogodzić. Ból i cierpienie przytłoczyły ją. Miała wtedy dopiero dwadzieścia jeden lat, ale nie musiała długo zastanawiać się nad wyborem. Przerwała studia i zajęła się braćmi. Stała się głową rodziny.

Przez sześć lat żyła z kartką w ręku i oszczędzała, by zdobyć fundusze na opłacenie ich nauki. Teraz odzyska niezależność.

Koncentrowała się na innych, zapominając o sobie. Nadeszła pora, by

pomyśleć o własnych marzeniach. Jeśli zdoła je sprecyzować.

Może wróci na studia. Może spróbuje skakać ze spadochronem.

Może...

Świat stoi przed nią otworem. Tyle możliwości... Na początek samochód z podgrzewanymi fotelami. Życie się przed nią otwiera, Amelia Gallagher może czerpać z niego garściami.

Nie, nie Amelia.

To imię kojarzy się jej z latami wyrzeczeń, z ciężką na niej odpowiedzialnością.

Mia.

Tak nazywano ją w domu, gdy była mała. Gdy była beztróskim dzieckiem. Potem wszystko zaczęło się zmieniać. I nawet się nie spostrzegła, kiedy przestała być Mią, a stała się Amelią.

Amelia. Ta, która odpowiada za rodzinę. Która organizuje życie rodziny, zapewnia godziwe warunki, martwi się o wszystko... i o wszystkich.

To już przeszłość. Zaczyna żyć na nowo. Wolna i beztróska. Znowu jest Mią. Amelia może by nie wiedziała, co dalej powinna czynić, ale Mia szybko się z tym upora.

Nie ma co przejmować się irytującymi adwokatami. Czas pomyśleć o wspaniałych przyjemnościach, jakie na nią czekają. O tym wszystkim, co wreszcie będzie mogła robić. Poczynając ód kupienia sobie nowego auta.

Co stanie się już bardzo niedługo.

- To tylko tymczasowe rozwiązanie, panie Mackenzie. Decyzję będzie pan musiał podjąć szybko, bardzo szybko. - Pod względem

prawnym nie ma najmniejszych wątpliwości. Prawo jest po mojej stronie.

- W tym momencie jeszcze niewiele wie i wszystko jest jedną wielką niewiadomą, jednak na prawie zna się doskonale.

- Nie wydaje mi się, by wykorzystywanie tego prawa leżało w najlepszym interesie dziecka. To mnie niepokoi. - Pani Lindsay sceptycznie popatrzyła na Maca. Jej mina jednoznacznie świadczyła, że nie powinien podejmować się zadania, które według jej opinii wykracza poza jego możliwości.

- Jej matka uczyniła mnie prawnym opiekunem. Czyli do mnie należy zapewnienie Katie odpowiedniej opieki i warunków.

Jest za nią odpowiedzialny. Ta świadomość przeraża go nie na żarty. I zdaje sobie z tego sprawę. Nie powie tego głośno, ale taka jest prawda.

Jest odpowiedzialny za małe dziecko.

Nie ma pojęcia, jak to się potoczy, jednak stawia czoło sytuacji. Nie zachowa się tak, jak... jak jego rodzice.

Odepchnął od siebie tę myśl.

Nie postąpi tak, jak oni. Nie chce jej komplikować życia, nie chce niepotrzebnie mieszać.

Nie podejmuje zobowiązania na całe życie. Poszuka dla niej domu. Znajdzie dobrą, oddaną dzieciom rodzinę, która przyjmie małą z otwartymi ramionami. Otoczą ją miłością, zawsze będą dla niej oparciem. To będzie rozwiązanie najlepsze dla wszystkich.

Niesamowite, jak wiele może się zmienić w tak krótkim czasie. Ledwie godzinę temu zadzwonił do pani Kim Lindsay. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, co usłyszał. Nigdy ani przez chwilę nie wyobrażał sobie, by coś takiego mogło się stać. Nie było choćby cienia

prawdopodobieństwa. A jednak stoi w salonie pani Thomas i dyskutuje z tajemniczą panią Lindsay.

Nie spotkał jej wcześniej w barze, jak sugerowała Amelia. Amelia zawsze spodziewa się po nim najgorszego. Szkoda, że tym razem nie miała racji. O ileż byłoby prościej, by ta Lindsay była kimś, z kim przypadkowo się zetknął i dawno zapomniał! Jednak to by było zbyt piękne. Pani Lindsay nie jest przelotną znajomą. Jest pracownicą opieki społecznej, której przydzielono jego przypadek.

Może formalnie nie jego, a Katie O'Keefe. Pani Kim Lindsay musi ustalić, czy osierocone dziecko ma krewnych, którzy zechcą się nią zająć. Jeśli nie, poczyni dalsze kroki. Na przykład znajdzie jej miejsce w rodzinie zastępczej.

Katie O'Keefe nie ma żadnej rodziny, ale ma Maca.

Prawnego opiekuna.

Na nim spoczywa odpowiedzialność za dziecko. O czym pani Lindsay uparcie stara się nie pamiętać.

- Mam już dla niej rodzinę zastępczą - powiedziała. - Dozorca wpuścił mnie do mieszkania pani Marion O'Keefe. Tam znalazłam informację, by w sytuacji awaryjnej kontaktować się z panem.

- Nie tylko w sytuacji awaryjnej. Jestem prawnym opiekunem dziecka. Przedstawiłem pani dokumenty, które to potwierdzają. - Dobrze, że przezornie zabrał je ze sobą.

- Powiedział pan, że nigdy nie przypuszczał, by mogła powstać taka sytuacja. Nie ma pan pojęcia o małych dzieciach, to też pana słowa. Nie zamierza pan wziąć jej na wychowanie. W związku z powyższym...

- Ja mogę wziąć ją do siebie, za pewną opłatą. Niewielką, na

pokrycie kosztów - usłużnie podsunęła pani Thomas.

Mac popatrzył na sąsiadkę Marion O'Keefe. Mocno zaawansowana wiekiem sprawiała wrażenie osoby, która z trudem radzi sobie z sobą. Co dopiero powierzyć jej malutkie dziecko.

- Nie - uciał szybko, a pani Lindsay mu zawtórowała. Wymienili ze sobą konspiracyjne spojrzenia. Różnili się poglądami, ale w tym jednym byli zgodni: to nie jest miejsce dla Katie.

- Chciałem powiedzieć - ciągnął Mac, widząc chmurną minę pani Thomas - że jestem pani bardzo wdzięczny za wszystko, co zrobiła pani dla Katie. Jednak życzeniem jej matki było, bym to ja stał się opiekunem jej dziecka. I tego zamierzam dopełnić.

- Pani Thomas, mogłaby pani na chwilę zostawić nas samych? - uprzejmie poprosiła pani Lindsay.

- Bardzo proszę - wymruczała. - Jej matka też nigdy nie chciała, bym posiedziała z małą. Jakbym nie była w stanie dopilnować dziecka. - Mamrocząc pod nosem, poszła korytarzem w głąb mieszkania.

Pani Lindsay zajęła się lekturą dokumentów.

Zna tę zagrywkę. Sam ją często stosuje. Wczytując się w papiery, przydaje sobie powagi i daje do zrozumienia, kto tu jest stroną decydującą.

Czekał na argumenty, jakie zaraz padną. Nie musiał czekać długo.

Pani Lindsay podniosła wzrok znad papierów, popatrzyła na niego. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, rzekł:

- Zabieram dziecko z sobą. Tak czy inaczej, to potrwa niedługo. Jej matka powierzyła ją mnie.

- Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, jak do tego doszło.

- Pani Marion O'Keefe nie miała żadnych krewnych. Ojciec dziecka zmarł przed przyjściem Katie na świat. Chciała więc zadbać o jej przyszłość. Przede wszystkim uchronić ją przed rodziną zastępczą. Chciała ustanowić prawnego opiekuna, w razie gdyby przydarzyło się jakieś nieszczęście. Czytała o sprawach, jakie prowadziłem. Wiedziała, że brałem udział w postępowaniach adopcyjnych.

W wolnym czasie pracowałem charytatywnie w agencji Our Home, instytucji non profit zajmującej się wyszukiwaniem rodzin adopcyjnych dla dzieci specjalnej troski. Tyle że nie miał bezpośredniego kontaktu z dziećmi i nigdy nie był czyimś opiekunem.

Powinien od razu odmówić. Wprawdzie prawo Pensylwanii nie zabraniało prawnikowi zostać opiekunem prawnym, ale takie przypadki zdarzały się niezwykle rzadko. Powinien po prostu powiedzieć „nie”.

Niewiele brakowało, by tak się stało. Rozsądek podpowiadał mu takie rozwiązanie. Jednak opowieść pani O'Keefe poruszyła go. Była zupełnie sama, nie miała nikogo. Nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. Współczuł jej serdecznie. Bo z własnego doświadczenia wie, co człowiek wtedy czuje.

Patrzyła na niego z taką nadzieją.

- Panie Mackenzie, nie mam nikogo, kogo mogłabym o to prosić. Nie liczę, że zajmie się pan jej wychowaniem, ale przeprowadził pan tyle adopcji, ma pan doświadczenie. Znajdzie pan dla niej dobry dom.

- Dla niej?

- Tak. Robiłam USG. To dziewczynka. - Marion uśmiechnęła się i delikatnie przesunęła dłonią po brzuchu. Z miłością.

Wtedy zrozumiał, że nie jest w stanie jej odmówić.

Tę chwilę miał przed oczami, jakby to było wczoraj. Zazdrościł wtedy nienarodzonemu dziecku tej ogromnej miłości, jaka malowała się w oczach Marion. Tak bardzo pragnęła tego maleństwa. Kochała je, nim jeszcze przyszło na świat. Martwiła się o przyszłość swojego dziecka i zadbała, by w razie czego jej córeczka nie została zdana tylko na siebie.

Nie miał serca odmówić jej prośbie. Zgodził się zostać prawnym opiekunem nienarodzonej dziewczynki, a potem zapomniał o sprawie. Marion była młodą, zdrowo wyglądającą osobą. Kto mógłby przewidzieć, że ma tętniaka.

Żałował jej. Zmarła tak młodo i tak nagle. Jej dziecko nigdy nie zaznało jej dotyku. Nie wiedziało, jak było przez nią kochane, jeszcze nim się narodziło.

Nie przypuszczał, że kiedyś dojdzie do takiej sytuacji jak teraz, jednak poczuwa się do odpowiedzialności za dziecko. Nie zawiedzie nadziei, jakie pokładała w nim Marion. Katie nigdy nie pozna jej miłości, ale będzie dorastać w dobrej, kochającej rodzinie. Zatróczy się o to, by naprawdę trafiła do ludzi o gorącym sercu. Nie odda jej obcym. Póki nie znajdzie jej domu, sam się nią będzie zajmować. - Obiecałem to jej matce i jestem moralnie zobowiązany do zatroszczenia się o dziecko.

- Jednak.

- Pani Lindsay. Czy na podstawie obowiązującego prawa jest jakiś powód zabraniający mi zabrania dziecka? Jeśli nie, to naszą rozmowę uważam za zakończoną.

Kobieta westchnęła ciężko.

- Czy weźmie pan moją wizytówkę i w razie potrzeby skontaktuje się ze mną?

- Proszę pani, może jestem uparty - błysnął uśmiechem, by rozładować jej zdenerwowanie - ale nie jestem nierozsądny.

Sięgnął po wizytówkę.

- Zadzwońię tak czy inaczej. Poinformuję panią, jak sobie radzimy i o dalszych krokach.

- Dziękuję. W mieszkaniu pani O'Keefe w zasadzie nic nie było. Nawet łóżeczka dla dziecka. Wydaje mi się, że raczej nie była zamożna.

- Nie była. Proponowałem, że za sporządzenie testamentu nie wezmę od niej zapłaty, ale odmówiła.

Marion O'Keefe była honorową osobą. Spłacała należność ratami, co miesiąc po pięć dolarów. Regularnie jak w zegarku. Dopilnuje, by Katie dowiedziała się o tym.

- Dozorca zobowiązał się, że spakuje wszystkie rzeczy i wyśle je pod pana adres. Dla Katie.

- Bardzo dobrze.

Urzędniczka zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Panie Mackenzie, czy zdaje pan sobie sprawę, w co się pan łąduje? - W jakim ona jest wieku? - Pani O'Keefe była u niego niecały rok temu.

Pani Lindsay znowu zerknęła w papiery.

- Ma siedem miesięcy.

- Siedem miesięcy. - Roześmiał się. - No to jakie z nią mogą być problemy?

Teraz to pani Lindsay się roześmiała.

- Porozmawiamy sobie za kilka dni. Ciekawe, co wtedy mi pan odpowie.

Pani Thomas weszła do salonu. Niosła dużą torbę.

- Zapakowałam tu jej rzeczy i ubranka. Zostały ostatnie dwie pieluchy, więc po drodze warto wpaść do sklepu po nową paczkę.

- Dziękuję, pani Thomas. - Wziął od niej torbę. - No to chodźmy po nią.

Byłoby dużo prościej, gdyby przystał na propozycję pani Lindsay. Opieka społeczna szybko by znalazła miejsce dla niemowlęcia. U kogoś z odpowiednim doświadczeniem. Proces adopcyjny też by nie potrwał długo.

Jednak nie może powierzyć jej komuś innemu.

Nie widział nawet tego dziecka, lecz instynktownie czuł, że jest wyjątkowe.

Znajdzie dla niej dom. W rodzinie, która otoczy ją miłością. Gdzie nigdy jej niczego nie zabraknie.

- Proszę, oto ona - powiedziała pani Thomas. Trzymała dziecko w czystym, miękkim kocyku, mocno kontrastującym z tym zapuszczonym mieszkaniem.

Wziął od niej zawiniątko i popatrzył na anielską twarzyczkę śpiącego niemowlęcia. Spała z paluszkami w buzi. Śliczna dziewczynka. Delikatnie przesunął palcem po jej pucołowatym policzku. Czuł się poruszony do głębi. Jest taka malutka, taka bezbronna.

Ostrożnie odsunął rąbek kocyka i oniemiał. Katie ma włosy swojej mamy, płomiennorude. Serce ścisnęło mu się ze współczucia. To maleństwo nigdy nie będzie znać swojej mamy, nie dowie się, jak bardzo było kochane.

Znajdzie dla niej dom, dom najlepszy z możliwych. Póki to nie

nastąpi, sam będzie się o nią troszczyć.

- Jeszcze raz bardzo pani dziękuję, pani Thomas.

Starsza kobieta mruknęła coś niezrozumiałego.

Mac ruszył do drzwi.

No i co dalej? Co powinien teraz zrobić? Przekonał panią Lindsay i panią Thomas, że da sobie radę, że podoła wyzwaniu. Teoretycznie wie, że dziecko ma swoje potrzeby, ale nie ma pojęcia, od czego powinien zacząć.

Ktoś musi mu pomóc. Nie ma innego wyjścia.

Choć zawsze wzdrygał się na myśl, by szukać czyjejś pomocy.

Zawsze był samodzielny.

Teraz sytuacja jest inna. Do kogo mógłby się zwrócić? Pani Z. Jest dla niego niemal jak matka, ale mieszka daleko, w Pittsburghu. Z pewnością pośpieszyłaby na pomoc, jednak nie może jej o to prosić.

Leland Wagner, szef kancelarii, ma dorosłe córki. Zresztą jego żona też mogłaby udzielić mu kilku wskazówek. Choć nie ma przekonania do tego pomysłu.

Może zadzwoni do którejś z koleżanek po fachu albo żon współpracowników? Znajdzie się ktoś, kto pomoże mu na tym początkowym etapie. Przeszukiwał w pamięci znajome osoby, ale już zaczynał formować mu się pewien obraz. Coraz bardziej wyrazisty. Nie prawniczka czy żona innego adwokata.

Amelia Gallagher.

Skąd mu to przyszło do głowy? Chyba stracił rozum. Amelia żywi do niego jawną awersję i stale to okazuje. I bardzo dobrze, bo on też ma do niej podobny stosunek.

Jest piękną dziewczyną, to prawda. Bardzo piękną. Tylko sama tego nie zauważa. Jej uroda w ogóle nie robi na niej wrażenia. Za to żaden mężczyzna nie przejdzie obok niej obojętnie. Krótkie jasne włosy i niewiarygodnie niebieskie oczy. Ładne rysy twarzy. Ale to tylko szczegóły.

To nie one przesądzają o jej urodzie.

Uśmiech. To jej uśmiech sprawia, że jest tak wyjątkowa. Wystarczy, że leciutko wygnie usta, a jej oczy zapalają się, jaśniejają.

Katie zamruczała przez sen, wyrywając go z tych rozmyślań. I bardzo dobrze. Bo jakoś do tej pory nigdy nie opisywał czyichś oczu w taki sposób. Rozjaśnione wewnętrznym blaskiem. Powinien się opanować. I więcej do tego nie wracać.

Jego celem jest teraz coś innego.

Katie zagulgotała.

- No i co dalej? - zapytał.

Dziecko znowu zagulgotało.

Co dalej? Amelia jest kobietą, czyli ma jakieś pojęcie o dzieciach. Zapłaci jej za pomoc. Ona zawsze skwapliwie korzysta z wszelkich okazji dodatkowego zarobku i chętnie zostaje po godzinach. Zapłaci jej za pomoc.

Lepiej zatrudnić kogoś do pomocy, niż prosić o wyświadczenie grzeczności.

Dochodził do samochodu, gdy nagle się ocknął i wzdrygnął. Popatrzył na dziecko, torbę z rzeczami, fotelik.

Jak on sobie z tym wszystkim da radę?

Za piętnaście piąta. Jeszcze kwadrans i Mia może uznać dzień pracy

za zakończony.

Dzięki Bogu.

To był naprawdę długi i męczący dzień.

Już na początek popsuło się ksero.

Pracownik z serwisu zjawił się szybko, ale okazało się, że naprawa nie będzie prosta. I potrwa do poniedziałku. Ciąg dalszy był łatwy do przewidzenia - rosnący stos dokumentów, które koniecznie trzeba było natychmiast skserować. Nie było innej rady, jak zapomnieć o lunchu i iść do mieszczącego się po sąsiedzku punktu ksero.

Poza tym nieustające telefony, wiadomości do przekazania, jakaś pani, która wyszła z gabinetu adwokata, szlochając. Wprawdzie nie wyjawiała powodu tej rozpaczki, jednak uspokojenie jej zajęło dobre piętnaście minut.

Jedynym jasnym punktem była jej poranna sprzeczka z Makiem.

Jeszcze cztery minuty.

Mia wstała i nieco przesunęła biurko, by stało prosto.

Gorąca kąpiel.

Z pianą i dobrą książką.

Och, jak przyjemnie zapowiada się wieczór! Wyjęła z szafy botki, zdjęła pantofle na obcasach. Może te kozaczki nie są zbyt eleganckie, ale Mia wcale się tym nie przejmuję. Dla niej jest ważne, by buty były ciepłe. W samochodzie ogrzewanie prawie nie działa. Dobrze, gdy uda się nie dopuścić do zamarznięcia szyb. Ale w środku zawsze jest chłodno.

Wsunęła botki na nogi.

Jeszcze trzy minuty.

- Do widzenia, Amelio! - Donovan i kilku adwokatów już szło do

wyjścia.

- Do widzenia. Dwie minuty.

Leland Wagner schodził po schodach.

- Zamkniesz za wszystkimi?

- Oczywiście.

- Może poczekam na ciebie? W razie gdyby samochód ci nie zapalił.

W zeszłym tygodniu nie udało się go uruchomić. Musiała czekać, aż przyjedzie pomoc, żeby zapalić silnik

- Nie, dziękuję. Mam nowy akumulator. Będzie dobrze.

- W takim razie dobranoc. Jedź ostrożnie.

- Dziękuję. I wzajemnie. Piąta.

Już jej tu nie ma.

Włożyła sweter, na to cienki żakiet.

Może nim kupi nowy samochód, rozejrzy się za ciepłym płaszczem?

Chociaż jeśli już będzie mieć nowe auto, to płaszcz nie będzie jej potrzebny. Jeśli kupi taki jak Libby, z podgrzewanymi siedzeniami i automatycznym zapłonem, to nim do niego dojdzie, w środku zrobi się ciepło.

Zastanawiając się nad optymalnym rozwiązaniem, owinęła szyję szalikiem i włożyła wełnianą czapkę.

Tak opatulona, poruszała się z trudem. Wzięła torebkę i ruszyła do wyjścia. Włączyła alarm, wyszła i dokładnie zamknęła zamki.

Na dworze było zupełnie białe.

Z nieba wolno spadały duże płatki śniegu. Gdy wychodziła z biura w porze lunchu, na ziemi leżało kilka centymetrów białego puchu. Śnieg

dalej sypał. To jeszcze nie była zamieć, ale zanosilo się, że będzie tak padać całą noc.

Zacęła schodzić po schodkach. Przed budynkiem zatrzymał się niebieski samochód.

Okno od strony pasażera otworzyło się.

- Amelia. Jak dobrze, że jeszcze cię złapałem! - rozległ się głos Maca.

- Czego ci trzeba, Larry?

- Ciebie - odpowiedział z miejsca. Zamurowało ją. Aż nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Słucham? - wykrztusiła.

- Nie ciebie, a twojej pomocy - poprawił się. - Wsiądź do samochodu, proszę.

- Ale...

- Amelio, proszę cię.

W jego głosie było coś zastanawiającego. Coś, co od razu uzmysłowiło jej, że to nie pora na przekomarzenia czy sprzeczki. Coś jest nie tak.

Kilka warstw odzienia utrudniało ruch. Skierowała się do samochodu. Im była bliżej, tym lepiej słyszała jakieś dziwne dźwięki dochodzące ze środka. Okropny hałas. To nie muzyka. Chyba że jakiegoś dziwnego gatunku.

To brzmi jak...

Otworzyła drzwi i spojrzała na tylne siedzenie.

No tak.

Niemowlę.

W dodatku niemowlę, które płacze.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Larry, co ty wyrabiasz? - wykrzyknęła, wsuwając głowę do środka i z niedowierzaniem wpatrując się w rozkrzyczane dziecko.

- Nic nie mów, tylko wsiadaj. Byle szybko. Bo jak tylko samochód staje, ona zaczyna płakać. Podczas jazdy jest całkiem spokojna.

Tę prawidłowość poznał, jadąc tu z domu pani Thomas. Miał za swoje, bo na tym odcinku światła są dosłownie co chwila.

W dodatku tak się fatalnie składało, że za każdym razem było czerwone. Na zielone czekało się całą wieczność.

Może tak mu się wydawało, bo gdy tylko zwalniał, Katie od razu zaczynała płakać.

Amelia też się rusza jak mucha w smole. Patrzył, jak wsiada. Szło jej to wyjątkowo opornie.

- Siedzisz? - zapytał niecierpliwie, przekrzykując zawroźnienie dziecka.

Mia kiwnęła głową.

Włączył silnik i ruszył. Dziecko od razu ucichło.

- Mac, co tu się dzieje? - zapytała. Jest tak zaskoczona i dezorientowana, że nawet się z nim nie drażni. Mało powiedziane. Jest do głębi przejęta.

- Pamiętasz te dzisiejsze telefony? Od pani Kim Lindsay? Wydzwaniała do mnie, by mnie poinformować, że mam dziecko.

- Och, Larry, jak mogłeś zachować się tak nieodpowiedzialnie? Spiorunował ją wzrokiem.

- Tak wcale nie było, ale ty, jak zwykle, od razu oceniasz mnie jak najgorzej. Kim Lindsay pracuje w opiece społecznej. Jestem prawnym opiekunem dziecka.

W milczeniu przetrawiała jego słowa.

- Przepraszam, że bez zastanowienia wyciągnęłam błędne wnioski - powiedziała cicho.

Amelia Gallagher go przeprosza? Chyba się przesłyszał. To zupełnie nie w jej stylu.

Kiwnął głową i wbił oczy w drogę. Nie patrzył na siedzącą obok dziewczynę.

- W zeszłym roku przyszła do mnie klientka. Chciała, bym sporządził dla niej testament. Mnie ustanowiła wykonawcą testamentu i prawnym opiekunem jej nienarodzonego dziecka. Taka praktyka rzadko ma miejsce, ale czasem się zdarza. W normalnych warunkach bym na to nie przystał, ale... - Urwał. - Było w niej coś, w jej historii, co mnie poruszyło. Była w ciąży, nie miała żadnych krewnych. Ojciec dziecka zmarł. W dodatku dopiero od niedawna tutaj mieszkała. Nie miała żadnych znajomych, była zupełnie sama i zdana tylko na siebie. Pracowała w sądzie i tam usłyszała o mnie. Wiedziała, że zajmuję się

przeprowadzaniem spraw adopcyjnych, że prowadzę sprawy związane z dziećmi... Jednym słowem, nie mogłem jej odmówić.

Znowu poczuł to samo, znajome już uczucie żalu i współczucia. Bez trudu potrafił wczuć się w jej sytuację, postawić się na jej miejscu.

Pamięta ją doskonale, jakby to było wczoraj. Pani O'Keefe była bardzo blada. Znacznie bledsza niż typowe rudowłose. Już wtedy powinien się domyślić, że może jej coś dolega. Powinien spróbować jakoś jej pomóc.

Pani Lindsay mówiła, że Marion zmarła z powodu tętniaka mózgu. Szybko i bez bólu. Nie było szans, by temu zapobiec. Mimo to miał wyrzuty sumienia. Powinien się domyślić, powinien coś zrobić.

Zniżył głos.

- Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek może dojść do takiej sytuacji. Wczoraj ta kobieta niespodziewanie zmarła. To jest jej córeczka.

- Och, moje biedactwo. - Mia popatrzyła na tylne siedzenie.

Przez moment wydawało mu się, że oczy podejrzenie jej błysnęły, ale zaraz pośpiesznie otarła je dłonią, więc nie miał pewności.

- Co mogę zrobić? - zapytała.

Spodziewał się, że będzie musiał ją długo prosić, namawiać, przekonywać. Posuwać się do pochlebstw albo grózb. Ani przez chwilę nie łudził się, że Amelia łatwo się zgodzi. A ona bez namysłu ofiaruje się z pomocą!

- Nie mam zielonego pojęcia o dzieciach - wyznał.

- Ja też nie za bardzo. Co prawda zdarzało mi się opiekować dziećmi, więc pewnie wiem trochę więcej na ten temat niż ty. Tylko że to było dawno temu. Nie jestem fachowcem.

- Orientujesz się na tyle, by pomóc mi kupić najniezbędniejsze rzeczy? Przynajmniej na pierwsze dni. Mam tylko dwie pieluchy i jedną butelkę mleka. W ich mieszkaniu prawie niczego nie było, nawet łóżeczka. To, co znaleźli, wysłali do mnie, ale to prawie nic. Nie wystarczy nawet na jedną noc, nie mówiąc o paru dniach. Zapłacę ci.

Amelia zgromiła go wzrokiem. Uraził ją. Wiedział, że choćby się powstrzymywał, to i tak prędzej czy później do tego dojdzie. Nawet gdy stara się uważać, zawsze mimowolnie coś mu się wymknie.

- Nie potrzeba mi twoich pieniędzy - powiedziała, patrząc na niego chmurnie.

Dziecko zakwiliło cicho. Twarz Amelii od razu złagodniała.

- Pomogę ci jakoś się zorganizować. Czy to znaczy, że zajmiesz się nią na stałe?

Gdy podjeżdżali do świateł, znowu zapaliło się czerwone. Ledwie samochód stanął, Katie zaczęła płakać na cały głos. Uciszyła się, gdy ruszyli.

- Nie, skądże. Nie zostanie u mnie. Nie mam warunków, by zajmować się nią przez parę dni, a co dopiero na dłuższą metę.

- W takim razie nie bardzo rozumiem, dlaczego nie dałeś jej pani Lindsay. Przecież opieka społeczna jest właśnie od tego.

Na myśl, że miałby oddać Katie do rodziny zastępczej, poczuł ucisk w żołądku. Nawet gdyby to miało trwać krótko, nawet gdyby nie przechodziła z rąk do rąk. Z własnego doświadczenia wie, co to znaczy dla dziecka. Wprawdzie nie było to dokładnie to samo, chyba żeby daleką rodzinę uznać za rodzinę zastępczą.

Miał dziesięć lat, gdy rodzice postanowili gonić marzenia i

przenieść się do Kalifornii. Mieli ogromne plany i wyobrażenia wspaniałej przyszłości. Tak przynajmniej mówili. On zawsze uważał, że po prostu mieli dość zwykłego, spokojnego życia, znudzili się. Jego odesłali do babci. Obiecywali, że na krótko. Mieli po niego wrócić, ale nigdy tego nie zrobili. Od czasu do czasu przysyłałi kartkę czy liścik z obietnicami bez pokrycia. Poczucie odpowiedzialności za dziecko było dla nich zbyt dużym obciążeniem.

Babcia zmarła, gdy miał dwanaście lat. Przez rok mieszkał u ciotki. Starła się, ale męczyła ją opieka nad krewniakiem.

W pierwszej klasie przeprowadził się do kolegi. Jego rodzice, państwo Zumigala, przyjęli go z otwartymi ramionami. Mieszkał tam aż do rozpoczęcia studiów. Traktowali go jak syna, jednak on podchodził do tego sceptycznie. Wiedział, że w każdej chwili mogą go wyprosić. Cekał na to, spodziewał się, że tak się stanie. Ale nigdy do tego nie doszło.

Nadal zapraszają go do domu na wszystkie święta. Są dla niego najbliższymi ludźmi, substytutem rodziny.

Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego przyjęli obcego pod swój dach, dlaczego zgodzili się wziąć odpowiedzialność za obce dziecko. Jego prawdziwa rodzina go odrzuciła. Tym bardziej nie rozumiał, dlaczego oni go zechcieli. Do tej pory jest to dla niego tajemnicą. Ale jest im wdzięczny. Dali mu coś dużo ważniejszego niż dach nad głową. Dali mu dom.

Teraz on spłaci swój dług. Znajdzie Katie to, co dostał od rodziców Cheta - poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Jej miejsce na ziemi.

Jest za mała, by rozumieć, jak niepewna jest teraz jej sytuacja. Ale z pewnością jakoś to odbiera. Nie dopuści, by było jej jeszcze gorzej.

Zostanie z nim, póki nie znajdzie dla niej domu. Domu na zawsze.

Rodziców, którzy pokochają ją jak własne dziecko i nigdy jej nie zostawią.

- Jej matka powierzyła ją mojej opiece - powiedział. - Zaufała mi. Wierzyła, że w razie nieszczęścia znajdę jej odpowiednią rodzinę. Żadne z nas nie brało tej możliwości poważnie. Tak się jednak stało. Teraz osobiście odpowiadam za dziecko. Póki sprawy nie potoczą się dalej.

- Co masz na myśli? - zapytała cicho.

- Wyszukam rodzinę, która ją zaadoptuje. Z tym nie powinno być najmniejszych problemów. To śliczne dziecko, ma dopiero siedem miesięcy. Mnóstwo rodzin czeka na takie maleństwo. Przyjmą ją jak córkę.

Kolejne czerwone światło i znowu rozpaczliwy płacz.

- A może ona jest głodna? - podsunęła Mia.

- Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, odbyło się to tak, że starsza pani, która się nią opiekowała, wręczyła mi ją razem, z torbą z pieluchami i ubrankami.

- Wiesz co? Zjedź na pobocze i spróbujmy ją nakarmić. Może wtedy nie będzie tak strasznie płakać? - Dobrze. - Zrobi wszystko, byle tylko uspokoić szlochające dziecko. Serce mu krwawi od tego żalosego płaczu.

Wjechał na stację.

- I tak muszę zatankować samochód. Jeśli prognozy się potwierdzą i zacznie się śnieżyca, to wolę mieć pełny bak.

Wyszedł i zaczął nalewać benzynę. Patrzył, jak Amelia wysiada i przenosi się na tył auta. Nie mógł się powstrzymać, by nie zerkać przez szybę do środka. Obserwował, jak dziewczyna otwiera torbę i szuka

butelki, a potem zaczyna karmić Katie.

Przysunęła się do niemowlęcia, przemawiała do niego, uśmiechając się przy tym. Nie słyszał słów, ale nawet nie widząc jej twarzy, wiedział, że ma oczy pełne ciepłego blasku. Rozjaśnione wewnętrznym światłem. To sprawia, że ludzie tak się do niej garną.

Nawet takie maleństwa.

Donovan powiedział kiedyś o Amelii, że jest wymarzoną sekretarką. Otwarta na ludzi, przyjazna. Być może tak właśnie jest. Choć w przeciwieństwie do jego kolegów, on nigdy nie miał z nią przyjaznych stosunków.

Nazywając rzecz po imieniu, Amelia traktuje go z jawną wrogością. Zawsze się go czepia.

Nie pozostawał jej dłużny. Ich ciągle spięcia i słowne utarczki dla nikogo nie były tajemnicą.

Dlaczego tak jest?

Bak był pełen. Zakręcił korek i poszedł zapłacić, nie przestając myśleć o Amelii i ich wzajemnych relacjach. Obserwowała, jak znika za drzwiami. Przez cały czas na nią patrzył.

- Katie, co mu jest? - wyszeptała.

Gdy mówił o dziecku, w jego głosie zadźwięczała jakaś dziwna nuta. Chodzi o coś więcej niż tylko znalezienie Katie dobrego domu. Intuicyjnie wyczuwała skrywany niepokój, odniesienia do czegoś, co wydarzyło się w przeszłości, jakichś przykrych przeżyć. Zastanawiające.

Wiedziała, że Larry poświęca sporo czasu na działalność charytatywną. Wszyscy prawnicy zatrudnieni w ich kancelarii byli zobowiązani do pracy społecznej. Do tej pory sądziła, że po prostu

wykonywał to zobowiązanie. Jednak teraz czuje, że to coś więcej.

Katie zaczęła łapczywie ssać mleko.

Jest głodna. I to bardzo, sądząc po szybkości, z jaką opróżniała butelkę.

- Nie dali dziecku jeść? - zapytała pieszczotliwie. Katie uśmiechnęła się, nie wypuszczając z buzi smoczka.

- Jesteś słodka, wiesz? - powiedziała Mia.

Mała zagulgotała radośnie. W tej samej chwili Mac otworzył drzwi i wsiadł do samochodu.

- Gotowa?

- Jasne. Zostanę tu z tyłu, żeby Katie dopiła butelkę, nim pójdziemy do sklepu.

- Dobrze.

Odprężyła się. Siedząc z tyłu, nie czuła na sobie wzroku Maca. Tak jest znacznie lepiej.

Nie jest nieśmiała, ale gdy Mac na nią patrzy, zawsze ma wrażenie, jakby widział w niej... W sumie nie potrafi nawet tego dokładnie nazwać. Tak czy inaczej, czuje się wtedy jak na cenzurowanym.

Podobną niepewność budzą w niej nowe pytania na jego temat.

Popatrzyła na niemowlę. Jeszcze niedawno jej bracia byli tacy. Mama ją często prosiła, by ich nakarmiła. Tak jak teraz karmi Katie.

- Jesteś za niego odpowiedzialna - przypominała jej mama, choć Mia sama była jeszcze małym dzieckiem, gdy najpierw zajmowała się Martym, a potem Ryanem.

Pomagała mamie, gdy ojciec ich zostawił. Pilnowała braci, była dla nich bardziej opiekunką niż siostrą starszą ledwie kilka lat.

Teraz Ryan zakończył naukę. Jej zadanie zostało wypełnione.

Może zacząć robić to wszystko, na co dotąd nie miała czasu.

Wszystko, o czym marzyła.

Nie chodzi tylko o nowy samochód. Może zacząć podróżować.

Może nawet zacząć się umawiać na randki.

Nie na poważnie. Nie chce żadnego poważnego związku. Chce się bawić. Chce zaznać przygody. Zrealizować marzenia... gdy już je sobie dokładnie określi.

Westchnęła.

- Dlaczego siedzisz tak cicho?

Jego pytanie przywołało ją do rzeczywistości. Nie pora sięgać myślami w przyszłość. Lepiej skoncentrować się na teraźniejszości.

- Po tych wrzaskach naprawdę narzekasz, że jest za cicho? - Nie! - roześmiał się. - Wiesz co, jak już kupimy co trzeba, to może pojedziesz do mnie, żeby mi pomóc? Nie na długo. Muszę kupić łóżeczko i te różne dodatkowe rzeczy, bez których nie da się obejść. To trzeba będzie powyciągać i poustawiać, a sam nie dam rady. Potem odwiozę cię do firmy, żebyś mogła zabrać swój samochód.

- Dobrze - przystała bez namysłu. - Tak to już jest. Jeśli powiedziało się A, trzeba powiedzieć i B.

Minęło sporo czasu, nim wreszcie skończyli zakupy. Samochód pękał w szwach. Mac wykupił prawie cały sklep. Obserwowała, z jakim skupieniem wybiera kolejne rzeczy, jak zastanawia się nad rozmiarami ubranek. Aż przyjemnie było na to popatrzeć.

Poznawała go z całkiem nowej strony. Co budziło w niej sprzeczne uczucia. Najchętniej znalazłaby się już u siebie w domu i zapomniała o

dzisiejszym popołudniu.

Gdy podjechali pod jego dom, czuła się naprawdę zmęczona. Mac wyłączył silnik.

Przyjrzała się domowi. Zupełnie inny, niż mogłaby się spodziewać. Choć, mówiąc szczerze, sama nie bardzo wiedziała, czego miałyby oczekiwać.

Piętrowy, zbudowany z cegły, w starej, prestiżowej części miasta. W ogródku przed domem potężne drzewo. Teraz bezlistne i pokryte białym puchem, w lecie zapewne ocienia cały dom. Stoi na jego straży.

- Wsiadamy - zarządził Mac. - Gdybyś wzięła Katie, mógłbym zacząć wyładowywać pakunki.

Co z pewnością trochę potrwa. Dziwny facet. Nie chce zatrzymać dziecka, a nakupił tyle, że spokojnie wystarczy na cały rok.

Łóżeczko, blat do przewijania, ubranka, butelki, smoczki, zabawki, pluszowe zwierzątka, pieluszki w trzech rozmiarach, bo nie byli pewni, jaki wziąć, mleko dla niemowląt.

- Chodźmy, Katie - powiedziała Mia, odpinając fotelik z dzieckiem.

- Proszę. - Mac podał jej klucze od domu.

Weszła z dzieckiem na ganek, postawiła fotelik na podłodze i otworzyła zamek.

- Światło jest po lewej! - zawołał Mac.

Nacisnęła przyciski. Błysnęło światło na ganku, w środku zapaliła się lampa stojąca przy ciemnej skórzanej kanapie. Mia zrzuciła botki, podeszła do kanapy i postawiła na niej fotelik z niemowlęciem.

Rozejrzała się po salonie. Ogromny, przyciągający uwagę kominek i pianino. Czyżby Mac umiał grać? Czy może to tylko dekoracja?

Obok kanapy duży, obity skórą fotel z przerzuconą przez oparcie afgańską narzutą. Na ścianie obraz. Zimowy krajobraz z zaśnieżoną stajnią.

Poderwała się, słysząc uderzenie w drzwi. Mac już wnosi pudła z zakupami. Podbiegła, by mu otworzyć.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Chcę najpierw wszystko zataścić do gościnnego pokoju. Tam umieszczę Katie.

- Może ci jakoś pomóc?

- Wiesz, wniosę najpierw drobniejsze rzeczy, a potem byś mi pomogła złożyć łóżeczko. - Dobrze. - Odprowadzała go wzrokiem, gdy wchodził na górę. Zniknął w pokoju po lewej.

- Hej, Katie - uśmiechnęła się do dziewczynki. - Zaraz cię rozpakuję.

Rozpięła ciepłą osłonę chroniącą dziecko.

- No i jak teraz? - przemawiała pieszczotliwie do śmiejącego się dziecka. - Jesteś urocza. Podbijesz niejedno serce, zobaczysz.

- Odpowiedziała coś na to? - W głosie Maca zabrzmiało rozbawienie.

- Nie. Takie malutkie dzieci jeszcze nie mówią.

- Myślałem, że nie znasz się na dzieciach.

- Nie znam się, ale powiedziałeś, że ma siedem miesięcy. Myślę, że to za wcześnie, by dziecko umiało mówić.

- Aha.

- Na razie nie będę wyjmować jej z fotelika. Dopiero gdy skończymy z łóżeczkiem. Lepiej dmuchać na zimne. Mówić pewnie nie

mówi, ale może już umie raczkować.

Pobiegła do drzwi. Im szybciej z tym skończą, tym szybciej się stąd zabierze. Rzut oka na dom Maca wprowadził ją w dziwny stan... Sama nie wie dlaczego.

Jakoś dużo łatwiej było jej wyobrazić go sobie w sterylnym, bezosobowym kawalerskim wnętrzu niż w tym przytulnym, przyjemnie urządzonej salonie. Od pierwszej chwili się czuje, że ktoś naprawdę tu mieszka, jest miło, wygodnie...

Po prostu domowo.

Domowo? W mateczniku Larry'ego?

Jakoś jedno nie pasuje do drugiego.

Wspólnie wnieśli łóżeczko do gościnnej sypialni. Ten po - kój też kłócił się z jej wyobrażeniami na temat domu Maca. Nakryte narzutą podwójne łóżko, na ścianie stare rodzinne fotografie.

Chętnie by je sobie pooglądała, choć właściwie sama nie wie dlaczego. Owszem, jego dom okazał się zupełnie inny, niż myślała, ale to wcale nie znaczy, że myli się w ocenie Maca.

- Zajrzę do dziecka - powiedziała i pobiegła na dół, zostawiając mu złożenie łóżeczka. Wyjęła Katie z fotelika.

- Masz śliczne włoski, skarbie - przemawiała do dziecka, bawiąc się jej loczkami. - Mężczyźni mają słabość do rudych włosów.

- Mężczyźni mają też słabość do blondynek - usłyszała głos Maca.

Podniosła głowę. Stał przy wejściu na schody. Porusza się cicho jak kot.

- Co ty tu robisz? - zapytała, ignorując jego uwagę o blondynkach.

- Muszę wziąć parę narzędzi. Ale nie mogę słuchać, jak opowiadasz

jej takie banialuki. Niektórzy mężczyźni, owszem, mają słabość do rudych, ale niektórzy wolą blondynki.

- Ja... - nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Gdyby to był jakikolwiek inny facet, uznałaby te przekomarzania za flirt. Jednak chodzi o Maca. Nie lubi jej, podobnie jak ona jego. Czyli flirt można od razu wykluczyć.

- Przestań się skradać i skończ montować to łóżeczko. Zaraz będzie ósma. Muszę się zbierać do domu, a na ciebie też pora, by położyć małą spać.

Mac popatrzył na zegarek. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. - Niemożliwe, żeby już było tak późno.

Przeszedł pokój, wkroczył do kuchni. Słyszała, jak otwiera szafki. Po chwili pobiegł na górę.

- No i co ty o nim myślisz? - zapytała dziewczynkę. Katie zagulgotała w odpowiedzi i zeszywniała.

- Pewnie chcesz wstać, co? - domyśliła się Mia. Podtrzymała ją pod paszkami. Dziecko podciągnęło się w górę. - Jeszcze trochę, a zaczniesz dreptać po całym domu! - uśmiechnęła się Mia. - Ciekawe, czy już umiesz raczkować?

Popatrzyła na górę pakunków.

- Tutaj gdzieś powinny być nowe kocyki - powiedziała do Katie. Trzymając dziecko, zaczęła myszkować po torbach. - No, znalazłam.

Rozłożyła koc na podłodze i ułożyła na nim niemowlę. W pobliżu dziecka umieściła kilka nowych zabawek. Katie od razu Podczołgała się do nich.

- No widzisz! Już umiesz raczkować! - zaśmiała się Mia. W tej

samej chwili pojawił się Mac.

- Ona już raczkuje - poinformowała go.

- Tak? - Przykląkł obok dziewczyny, ale nie dotykał jej.

- Popatrz. - Odsunęła kilka zabawek nieco dalej, a Katie natychmiast poczołgała się w ich stronę.

Oboje z przyjemnością obserwowali jej działania. Mac od niechcena zarzucił ramię na plecy Mii, jakby wspierając się na niej. Zerknęła na niego ukradkiem. Nie odrywał wzroku od dziecka. Oczy mu błyszczały, na ustach błąkał się uśmiech.

Ta chwila nagle nabrała wyjątkowego charakteru. Jakiejś szczególnej intymności. Poruszona tym odkryciem, Mia cofnęła się. Pochyliła się nad Katie i zmarszczyła nos.

- Przewijałeś kiedy dziecko? - zapytała Maca. - Umiesz zmieniać pieluszkę?

Obronnym gestem przycisnął do siebie pudełko z narzędziami.

- Nie, ale jeśli możesz, zajmij się nią, a ja pójdę dokończyć łóżeczko.

- O nie. Chciałeś, żebym pomogła ci zrobić pierwsze kroki. Po to tu przyjechałam. Nie trzeba szczególnie znać się na dzieciach, żeby wiedzieć, że należy im zmieniać pieluchy. I to często.

Mac patrzył na nią z przerażoną miną. Nie mogła się powstrzymać, by nie zachichotać.

- Chodź, musisz się tego nauczyć.

- Teraz tylko popatrzę. Później sam spróbuję.

- Nie. To ja będę patrzeć, jak sobie radzisz. - Ale...

- Odłóż te narzędzia i chodź.

Z ociąganiem postawił skrzynkę. Usiadł obok Mii na podłodze i wbił wzrok w dziecko. Miał taką minę, jakby widział przed sobą niebezpieczne zwierzę.

Mia wyjęła pieluszkę i chusteczki dla niemowlaków.

- Bierz się do dzieła.

Mac wyprostował się, zagryzł usta.

- Radzę sobie z trudnymi klientami i skomplikowanymi sprawami.

Z tym też sobie dam radę.

Stłumiła uśmiech. Przyglądała się, jak z powagą zabiera się do roboty. Jakoś mu poszło. - Teraz przyklej te kawałeczki taśmy, żeby pieluszka się nie przesunęła.

- To nie taśma, tylko rzep - powiedział, kończąc dzieło. Rozjaśnił się w uśmiechu. - Proszę, zrobione.

- Rzep? - zdziwiła się. - Za moich czasów były plasterki. Od razu czuję się staro!

Skrzywił się lekko.

- Wcale nie jesteś stara.

- Tego nie powiedziałam, Larry. Stwierdziłam tylko, że tak się poczułam. Stary to jesteś ty.

Spojrzał na nią karcąco.

- Mówisz, jakbym był jakimś zabytkiem.

- A nie jesteś? - uśmiechnęła się.

- Trzydziestka to jeszcze nie tak dużo.

- Trzydzieści lat! No nie! - Przycisnęła dłoń do piersi. - Jesteś strasznie stary!

- A ile ty masz? - zapytał.

- Dwadzieścia siedem.

Dwadzieścia siedem i wszystko przed sobą. Wreszcie zaczniesz spełniać swoje marzenia. Najpierw dokładnie je sobie przemyśli i zrobi listę. Potem po kolei będzie je realizować. Cóż za przyjemna perspektywa!

- Te trzy lata to rzeczywiście ogromna różnica.

- Żebyś wiedział! - zaśmiała się. - Wielka, ogromna różnica.

Mac popatrzył na dziecko.

- To wariatka, wiesz? Na pewno sama już to spostrzegłaś. Bo jesteś bardzo bystrą panienką, Katie.

Katie odpowiedziała coś po swojemu. - Powiedziała, że dziewczyny muszą trzymać się razem. To nie ja mam nie po kolei w głowie, tylko ty - odparowała Mia. - Choć pieluchy już możesz zmieniać.

- Dzięki za pomoc. Po tym doświadczeniu już nic nie jest mi straszne.

Dziecko zakwiliło cichutko, Mia wyciągnęła do Katie rękę. Mac podał jej dziecko.

- Mógłbyś poszukać smoczka? - poprosiła, uspokajająco gładząc małą po plecach.

Odpiął smoczek od samochodowego fotelika i podał go. Niechcący musnął przy tym jej dłoń. Trwało to mgnienie. Gdyby to był ktoś inny, nawet by tego nie zarejestrowała.

Ale to nie był ktoś inny, tylko Mac. Przy nim jej uwaga zawsze jest wyjątkowo wyostrzona.

Bo stale ją denerwuje, dlatego.

Choć to dotknięcie... wcale takie nie było.

Odepchnęła od siebie tę nagłą myśl. Przykleiła smoczek do ramy leżaczka.

- Według mnie to nie ojciec czy matka wpadli na pomysł, by przyklejać smoczek, ale starsza siostra, która ciągle musiała go szukać.

- O ile jesteś starsza od swoich braci?

- Trzy lata od Marty'ego i pięć od Ryana. Ryan właśnie obronił dyplom z zarządzania.

- To świetnie.

- Tak. - Nagle uświadomiła sobie, że ich rozmowa niebezpiecznie skręciła na bardziej osobiste tory. Natychmiast się zreflektowała. - Mac, idź dokończyć to łóżeczko. Naprawdę muszę już wracać. Umiera z głodu. Nie miała czasu zjeść lunchu, a już dawno minęła pora kolacji.

- Dobrze.

Poszedł na górę. Odetchnęła. Najpierw ta niespodziewana reakcja na jego dotyk, potem pogaduszki na tematy osobiste. O wieku, braciach.

Gadali jak starzy znajomi. Aż się nie chce wierzyć.

Wszystko przez to, że spadł jej poziom cukru.

Musi wracać do domu.

Mówiła do niego Mac. Chyba zupełnie nieświadomie, ale jednak.

Wsunął śrubę w otwór, wkręcił ją. Amelia jest inna, niż do tej pory myślał. Uważał ją za dokuczliwą i zadziorną. Okazuje się, że ma też dobre cechy.

Obserwował ją, gdy przemawiała do dziecka. Czule i łagodnie. Nawet teraz, choć jest na dole, słyszy jej miękki głos.

Chyba coś śpiewa Katie.

Jeszcze wczoraj za nic by w to nie uwierzył. Amelia nie dość, że

zgodziła się mu pomóc, to siedzi w jego salonie i śpiewa dziecku kołysankę.

Włożył materac na miejsce i zbiegł na dół.

- Łóżeczko gotowe. Spokojnie dam radę położyć ją do snu, więc jeśli jesteś gotowa, możemy ruszać.

- Poczekaj, niech Katie dopije do końca. Potem pojedziemy, dobrze?

Usiadł na wprost niej.

- Amelia?

- Mia - poprawiła go. - Mia?

- Tak. Już za długo byłam Amelią. Wracam do mojego dawnego imienia.

- Mia. - Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. - Pasuje do ciebie.

Mógłby nie usłuchać jej prośby i nadal zwracać się do niej po staremu, tak jak ona ciągle trwała przy Larrym. Jednak gdy na nią patrzy, widzi, że to nowe imię oznacza zmianę, istotną zmianę. Nawet gdyby nie był w stosunku do niej zobowiązany, nie próbowałby tego drażnić.

- Mia - rzekł. - Chciałbym podziękować ci za pomoc. Ja...

- Nie dziękuj. Masz u mnie dług, a ja już znajdę sposób, byś się zrewanżował.

Zachichotał.

- W to nie wątpię.

Mia zajęła się dzieckiem. Przyglądał się temu z zainteresowaniem. Przyjemnie na nią patrzeć.

Gdyby poznał ją na przyjęciu, bez namysłu wziąłby od niej telefon. Poszedłby z nią na randkę, układ by się rozwinął. Do momentu, póki nie

zrobiłby się zbyt poważny. Wtedy skończyłby znajomość.

Tak jak stanowczo nie chce mieć dzieci, tak samo nie chce wdawać się w związek na poważnie. Już dawno postanowił, że w życiu będzie liczyć wyłącznie na siebie.

Mimo tych zastrzeżeń chętnie zaprzyjaźniłby się z Mią - nie na długo, rzecz jasna - gdyby sytuacja była inna. Jednak pracują w jednej firmie, poza tym z jakiegoś powodu Mia go nie lubi. Koło się zamyka.

Ale gdyby okoliczności były inne, to kto wie.

- Mac, powiedziałam, że Katie już skończyła - głos Mii wyrwał go z zamyślenia. Trzymała dziecko na ramieniu i delikatnie klepała je po plecach. - Jak tylko będziesz gotowy, możemy jechać.

- Tak, jasne.

Mia podniosła się, wsunęła dziecko do fotelika i zaczęła wkładać na siebie kolejne warstwy odzieży.

- Czemu nie kupisz sobie ciepłego płaszcza zamiast wkładać na siebie pół szafy? - zdziwił się.

- Larry, naprawdę uważasz, że powinno cię obchodzić, jak się ubieram?

Znowu przeszła na „Larry”. Czyli zirytował ją.

- Źle się wyraziłem, przepraszam. Chodziło mi tylko o to, że mimo tylu warstw wcale nie jest ci ciepło.

- W takim razie przyjmij do wiadomości, że właśnie dziś myślałam o kupnie nowego płaszcza.

- Tylko że zima już się kończy.

- Co ty powiesz? Prawie dałam się nabrać.

Otworzył drzwi i do środka wpadł zimny podmuch. Na zewnątrz

było zupełnie białe. Nawet nie widać końca ganku. Nie ma mowy, by wyniósł dziecko na taką pogodę. Zresztą nawet bez dziecka nie ruszyłby w drogę. Nie w taką zamieć.

- Wygląda na to, że wygrałaś. Zima wcale nie minęła i nie podda się bez walki. Wygląda też na to, że musisz tu zostać na noc.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Musisz tu prznocować. Jest straszna zamieć. Słyszała, ale nie chciała przyjąć tych słów do wiadomości.

- Nie przesadzaj, na pewno nie jest aż tak źle - powiedziała, podchodząc do drzwi. Wyjrzała na dwór.

Serce jej zamarło. Wiatr wzbijał tumany śnieżnego kurzu, nie widać było nawet domów po drugiej stronie ulicy.

- Ojej! - wybąkała.

- No właśnie - rzekł ponuro. - Sama widzisz.

- Ale ja nie mogę tu zostać.

Chce jechać do domu, do swojego miłego, przytulnego mieszkania.

Umościć się na kanapie, zwinąć pod kocem z jakąś dobrą książką.

Nie ma ochoty dogadywać się z Larrym. On zresztą prezentuje podobne nastawienie jak ona.

- Gdyby chodziło tylko o nas, zaryzykowałbym jazdę w taką pogodę - zagaił. - Ale jest Katie. Chcesz zabrać ją na dwór na taką

śnieżyce?

- Nie. - Zaniknęła drzwi. Zwiesiła głowę. Jest w sytuacji bez wyjścia. Gorzej już nie mogło się ułożyć.

Marzyła, by wreszcie znaleźć się w domu, u siebie. Ale jeszcze bardziej chce zapomnieć o dzisiejszym popołudniu, wymazać z pamięci nowy obraz Larry'ego. Woli myśleć o nim tak, jak dotychczas. Dzisiaj ujrzała go z lepszej strony. I to ją poruszyło. Bo okazał się inny, niż myślała.

Woli się z nim spierać i przekomarzać. Niech dalej będzie jak dotąd. Będą się szarpać i wzajemnie denerwować. Wtedy czuje się na pewnym gruncie. Nie to, co teraz. Gdy nieoczekiwanie Larry budzi w niej inne uczucia, znacznie cieplejsze, niż trzeba.

Popatrzyła na niego. Posłuchała, co mówi.

- ... postawiłem jej łóżeczko w gościnnej sypialni, ale tam jest też normalne łóżko. Przeniosę się tam, żeby w nocy być przy niej. Ty możesz spać w mojej sypialni.

Miałyby spać w jego łóżku? W tej samej pościeli? Na samą myśl zrobiło się jej gorąco.

To zbyt wiele jak na nią.

Nie może się na to zgodzić.

Nie ma mowy.

W żadnym wypadku.

Nawet szalejąca za oknem zamieć nie była w stanie ostudzić jej wzburzenia.

- Bardzo dziękuję, ale nie - oświadczyła stanowczo. - Przenocuję w pokoju Katie.

Mac nie zrażał się łatwo.

- W mojej sypialni będzie ci znacznie wygodniej...

- Przenocuję u Katie - przerwała mu stanowczo. - I więcej do tego nie wracajmy. Wydawało się, że będzie ją dalej naciskać, ale zmienił zdanie.

- Zgoda - rzekł, wzruszając ramionami. - Jak sobie chcesz. Co powiesz na to, że przygotuję jakąś kolację? Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

- Jestem okropnie głodna - przyznała. - Może chcesz, żebym to ja coś przyrządziła?

- Nie wierzysz w moje umiejętności kulinarne? - obruszył się lekko.

- Wcale w nie nie wątpię. I jestem tak głodna, że zaryzykuję.

- No, ładnie - zaśmiał się. - To może zajmij się Katie, a ja zacznę szykować kolację. Daj mi szansę. Zaufaj mi.

- Dobrze. Spróbuję. Ale idź już.

Odchodząc, słyszał, jak Amelia - nie, nie Amelia, Mia - mruczy coś do dziecka. W sumie to nawet dobrze, że nie słyszy stąd jej słów.

Może się tylko domyślać, że dotyczą jego. I to z pewnością nie są komplementy.

Zaśmiał się pod nosem. Te słowne utarczki z Mią dobrze mu robią. Mia.

Uśmiechnął się, przypominając sobie jej nowe imię. Trudno to określić, ale w jakiś sposób bardzo do niej pasuje.

Dość już tych rozważań. Pora rozejrzeć się za czymś do jedzenia. Chciałby zrobić coś, co spotka się z jej uznaniem.

Hm, tylko że nie jest takim świetnym kucharzem, by wprowadzić ją w

podziw. Potrafi przyrządzić coś jadalnego, ale to nie są fajerwerki kulinarne, które rzucają ją na kolana.

Otworzył kredensy uważnie zlustrował zawartość półek. Może przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł. Jednak nie ma tu nic szczególnego. Otworzył lodówkę.

Jajka.

Jest tuzin jajek.

Na drugiej półce, nieco w tyle, dojrzał opakowanie żółtego sera. Otworzył je. Wygląda na jadalny.

Omlet.

Tak, przyrządzi omlety. Jak na jego umiejętności to i tak wiele.

Jednak omlet, nawet doskonale zrobiony, nie jest bardzo wyszukany danie. Musi go czymś wzbogacić.

Pieczyno czosnkowe, to jest to. Pokroił bagietkę, posmarował kromki masłem i posypał solą czosnkową. Na wierzch położył odrobinę sera i wstawił grzanki do piekarnika.

Zabrał się za omlet. Mieszając jajka, zadumał się. Kto by pomyślał, że w jego kawalerskim salonie jest teraz kobieta i niemowlę. Sam nie bardzo w to wierzy.

Co za dzień! Kiedy rano wychodził z domu do pracy, nawet przez myśl mu nie przeszło, że czekają go takie emocje. Mocniej zamieszał jajka. Może zbyt mocno.

W poniedziałek, od razu z samego rana, zacznie szukać domu dla Katie. Znajdzie jej rodziców. Katie będzie mieć swoją rodzinę. Ludzi, którzy pokochają ją bez zastrzeżeń.

Którzy jej nigdy nie zostawią.

Będzie aktywnie uczestniczyć w procesie adopcyjnym. Wybierze taką agencję, która nie będzie mu stawiać żadnych przeszkód. Nie powierzy Katie byle komu. Musi mieć pewność, że niczego jej nie zabraknie. Marion nie była w stanie jej zabezpieczyć. Choć może zostawiła jakąś polisę?

Musi dokładnie przejrzeć wszystkie pozostawione przez nią rzeczy.

Niezależnie od tego, sam zadba o Katie. Założy dla niej lokatę. Ma mnóstwo pieniędzy, przynajmniej komuś dobrze się przysłuży.

Wlał masę jajeczną na patelnię.

Tak, to dobry pomysł.

Katie nie będzie musiała pracować, by zdobyć fundusze na naukę. Sam tego doświadczył, stąd wie, jak trudna jest to droga. Pieniądze już będą na nią czekać.

Gdy Marion poprosiła, by został opiekunem jej nienarodzonego dziecka, nie wahał się. Sam był zaskoczony swoim podejściem. W końcu prawie jej nie znał, widział ją raptem tylko dwa razy. Gdy przyszła złożyć zlecenie i potem, gdy podpisywała przygotowane przez niego dokumenty. Ledwie dwa razy. A jednak czuł z nią silną więź.

Nie raz zapytywał sam siebie, dlaczego tak się zachował. Dlaczego się zgodził? Jedyne odpowiedzi, jaka się nasuwała, to łączące ich podobieństwo. Przeszli podobną drogę, mieli podobne doświadczenia. Widział w niej samego siebie. Kogoś zdanego wyłącznie na własne siły.

Kogoś, kto nie ma nikogo.

Teraz na niego spadła odpowiedzialność za jej córeczkę.

Zrobi co w jego mocy, by Katie nigdy nie poczuła się samotna i odrzucona. Znajdzie jej świetnych rodziców. Oddanych i kochających.

Którzy nigdy nie poskapią jej serca, zawsze będą mieć dla niej czas i będą dumni z jej osiągnięć.

Zrobi to dla Marion.

Zrobi to dla Katie.

Możliwe też, że również dla siebie.

Gdy został sam, zdany na własne siły, państwo Zumigala przygarnęli go pod swój dach. Pomagając Katie, w jakimś sensie częściowo spłaci ten dług.

- Hej, Larry - głos wchodzącej do kuchni Amelii przywołał go do rzeczywistości.

- Pachnie całkiem nieźle.

- Mam nadzieję, że może być omlet z serem? Jestem już okropnie głodny, więc chciałem zrobić coś szybkiego.

- Jak najbardziej - odpowiedziała bez namysłu. Co ona jest taka zgodna?

Podejrzanie zgodna.

Mia Gallagher nie należy do zgodnych osób. Jedno tylko łagodziło jego niepokój - że mówi do niego „Larry”.

- Mam w lodówce butelkę wina. Napijesz się?

- Bardzo chętnie. Gdzie trzymasz kieliszki?

- W szafce nad zlewozmywakiem. - Starał się nie zwracać uwagi na błysk jasnej skóry, gdy Mia wspięła się na palce, by sięgnąć do szafki, i bluzka odsłoniła talię.

To tylko wąski paseczek, nic takiego. Takie rzeczy nie robią na nim wrażenia. Jednak w jego reakcji jest coś zastanawiającego. Gdyby to była inna dziewczyna, nie miałby problemu z określeniem. Ale przecież ona go

nie bierze.

Wykluczone.

To z założenia odpada. W ogóle nie wchodzi w grę.

Jedno na drugie działa jak płachta na byka. Stale skaczą sobie do oczu. Teraz zawarli rozejm, ale tylko ze względu na Katie. Gdy zamieć osłabnie, wszystko wróci do normy. Czyli nie ma co gapić się na jej jasną skórę i zastanawiać, jaka jest w dotyku.

Zmusił się, by skupić uwagę na omlecie.

- Już mam. - Postawiła kieliszki na blacie i nalała wina. Podała mu kieliszek. Poczł lekkie muśnięcie jej palców

i znowu ogarnęło go to dziwne uczucie. Palilo go w środku. To nie pragnienie, przecież to absurd. Prawdopodobnie ma wrzody żołądka.

Tak, na pewno.

To przez nią w końcu dostał wrzodów.

Przez nią pewnie też skacze mu ciśnienie, dlatego czuje się tak lekko i beztrosko.

- Położyłam Katie do łóżeczka - zagaiła Mia. - Biedactwo, była strasznie zmęczona.

Poczucie beztroski minęło bezpowrotnie. Teraz przepełnił go lęk.

Jej pokój jest na górze, daleko od kuchni. A jeśli Katie płacze?

Przekręci się, wtuli buzię w poduszkę i się udusi?

Jeśli zaklinuje się między szczebelkami łóżka?

Jeśli...

Mia jakby wyczuła jego nastrój, bo powiedziała:

- Od razu mocno usnęła. Nic jej nie jest.

- Włączyłaś elektroniczną nianię? - zapytał, zastanawiając się

poważnie, czy nie iść na górę, by osobiście upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Mia wybuchnęła śmiechem.

- Tak Odbiornik jest na stole.

Odetchnął z ulgą. Nie zauważył, że przyniosła do kuchni odbiornik. Pewnie dlatego, że poza nią nie zauważa niczego innego.

Oczywiście nie w tym sensie, że widzi w niej kobietę. Dlatego, że przy niej przez cały czas musi mieć się na baczności. Stale ma świadomość jej obecności. Jest jak zadra, której nie można się pozbyć. Która powoli doprowadza go do białej gorączki.

Właśnie. To dobre określenie. Mia właśnie tak na niego działa.

- Nastawiłaś głośno, żebyśmy ją mogli usłyszeć?

- Nastawiłam na maksa. - Wzięła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

- Możesz nawet posłuchać, jak mała oddycha.

- To dobrze. - Oddycha, czyli jest dobrze. Przynajmniej jeden problem mniej.

Skoncentrował się na omlecie. Woli to, niż skupiać się na Mii.

Na razie chyba wyczerpali tematy, bo oboje milczeli. Nie miał pomysłu na rozmowę. Zresztą milczenie całkiem mu pasowało.

Mia usiadła przy kuchennym stole i obserwowała, jak przerzuca omlet na drugą stronę.

Zerknął na nią. Sączyła wino i wyglądała jak ktoś, kto jest u siebie. Na jej twarzy błąkał się nieśmiały uśmiech. Ciekawe, o czym myśli. Oczywiście jej o to nie zapyta.

- Wiesz, o czym teraz myślę? - zapytała. To znowu się powtarza.

Jakby czytała w jego myślach.

- Hm? - mruknął bezosobowo, by nie pokazać po sobie ciekawości.

Bo też nie obchodzi go, o czym Mia właśnie duma.

- Przypomniałam sobie, jak kiedyś, gdy byłam mała, też była taka śnieżycą. W Boże Narodzenie. Pogoda była straszna. Wszystko zamknięte na cztery spusty, na ulicach żadnego ruchu. To nie było miłe. - Umilkła, zagubiona we wspomnieniach.

- A było coś miłego? - zapytał.

- Och tak. Nawet bardzo. Moja mama miała wtedy pracować. Za pracę w święto płacili więcej, półtorej normalnej stawki. Te dodatkowe pieniądze były dla nas zbawienne. Jednak z powodu śnieżycy wszystko zostało zamknięte. Mama nie poszła do pracy. Pieniądze przeszły koło nosa, ale za to święta były wspaniałe, Zupełnie jakby na świecie nikogo więcej nie było, tylko my. Byliśmy razem, w domu. Przez cały wieczór graliśmy w różne gry.

Uśmiechała się do swoich wspomnień. Widział, że myślami jest daleko stąd.

Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem. Przyglądał się jej jak urzeczony.

- Ryan był jeszcze malutki, więc graliśmy razem - ciągnęła. - Zrobiliśmy sobie gorącą czekoladę. W końcu wszyscy usnęli w salonie. Chłopcy wstali pierwsi, obudzili nas. Ja imama leżałyśmy sobie na kanapie, a oni otwierali prezenty. Nie było ich dużo, nigdy zresztą nie było, ale oni wydawali się naprawdę szczęśliwi. Wszyscy byliśmy szczęśliwi. Ta śnieżycą przypomniła mi tamte chwile. Przypomniła mi dom.

- Przypomniła ci dom? Przecież przez tę śnieżycę nie możesz się stąd ruszyć, jesteś tu uziemiona ze mną - powiedział z niedowierzaniem.

Chyba się musiał przesyłszuć. Wyrwał ją z rozmarzenia.

- Nie mówiłam o tobie - wyjaśniła. - Miałam na myśli śnieg. A właściwie śnieżyce. Lubię, gdy tak sypie. Pod warunkiem, że nie muszę wychodzić z domu. Od razu przypominam sobie tamte święta. Jedne z najlepszych, jakie miałam.

- Uspokoiłś mnie. - Czuł pustkę w żołądku. To chyba uczucie ulgi. Nie chce, by nocowanie tutaj kojarzyło się jej z domem. To już lekka przesada.

- Musiałabym być stuknięta, gdyby twoje towarzystwo przywoływało mi wspomnienia ciepłego domu i poczucia bezpieczeństwa - rzekła, nieświadomie potwierdzając jego przekonania.

- A nie jesteś? - zapytał, rozmyślnie uśmiechając się do niej, by nie wzięła tego poważnie.

Chyba jednak nie uznała tego za żart, bo zgromiła go wzrokiem.

- Dajmy sobie spokój. Przepraszam, że coś mówiłam, Larry.

Powinien szybko sprostować, zapewnić, że tylko się z nią droczył, ale nie zrobił tego. Tak chyba nawet jest lepiej. Niech będzie na niego zła.

Powiedziała „Larry”. Tym swoim tonem, na którego brzmienie od razu się spinał. I bardzo dobrze. Bo słuchając jej opowiadania, poddał się nastrojowi, sam się rozluźnił.

Co tylko może mu zaszkodzić.

O wiele lepiej, gdy ich układ jest taki jak zwykle. I stabilny.

Wyjął blachę z grzankami, podzielił omlet i rozłożył go na dwa talerze. Popatrzył na dziewczynę, jej lekko skrzywioną buzię i od razu poczuł się... jakoś dziwnie. Nie chce za bardzo się z nią zaprzyjaźniać, ale też nie chce, by była taka markotna. Postawił przed nią talerz i usiadł na

swoim miejscu.

- Dziękuję - powiedziała tylko. Jedno jedyne słowo. I cisza.

Ta cisza niepokoiła go. Dużo lepiej się czuje, gdy oboje na siebie naskakują. Takie cierpienie w milczeniu w ogóle do niej nie pasuje.

Niemal się ucieszył, gdy ciszę przerwało ciche kwilenie dziecka. Odbiornik zadziałał.

- Może powinniśmy do niej zajrzeć? - zapytał.

- Nie. Nic jej nie jest. Tylko tyle. I znowu cisza.

Powoli sytuacja się poprawia, choć sam do końca nie wie, czy tego chce.

- Opowiedz mi coś więcej o swojej rodzinie - rzekł.

- Dziękuję, ale nie mam ochoty.

Chyba jednak wcale się nie popisał. Mia jest na niego wściekła.

Zwykle tak było, gdy tylko znajdowali się blisko siebie, jednak tym razem to coś innego. Mógł sobie darować te swoje sugestie.

- Mia, przepraszam cię. Wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Wiesz, ja też mam historię związaną ze śnieżycą.

Nic nie powiedziała, ale podniosła na niego wzrok. Uznał to za przyzwolenie.

- Wychowywałem się na przedmieściach Pittsburgha, w Bethel Park. Tam nigdy nie było tyle śniegu, co tutaj. Niby to tylko dwie godziny jazdy na północ, jednak różnica jest ogromna. Mieszkam tu już tyle czasu, a jeszcze nie przyzwyczailem się do tutejszej pogody.

Mia odgryzła kęs omletu. Sądząc po minie, chyba jej smakuje. To dobry znak. Szkoda tylko, że on jej nie pasuje.

- Byłem wtedy w pierwszej klasie liceum. Tak sypało, że odwołali

lekcje. Całe miasto stanęło. Teraz, gdy mieszkam w Erie, wydaje mi się to śmieszne. Tu musi spaść z metr śniegu, żeby coś zaczęło się dziać. W Pittsburghu wystarczyło kilkanaście centymetrów. Razem z Chetem postanowiliśmy pojeździć na sankach, tylko że nie mieliśmy sanek.

- Z Chetem? - zapytała.

- To mój... - zawahał się - przyjaciel.

Zawsze miał problemy, jak określić Cheta i jego rodziców. To coś więcej niż przyjaciele. Bardziej rodzina. Trzeba by więcej czasu, by jej to wyjaśnić.

- Nie mieliśmy sanek, bo uważaliśmy się za dorosłych - ciągnął. - Jednak śnieg kusił. Koniecznie chcieliśmy trochę pojeździć.

- I co zrobiliście?

- Zabraliśmy z garażu stary materac, który jego mama tam trzymała. Poszliśmy z nim na teren podstawówki, zaraz obok domu. W Pittsburghu śniegu jest niewiele, ale gór nie brakuje. Tam była całkiem spora. Mieliśmy problem, bo materac nie chciał się ślizgać, ale znaleźliśmy sposób. Owinęliśmy go w foliowe worki na śmieci i okleiliśmy taśmą. Wskoczyliśmy na niego jak na tobogan i pomknęliśmy w dół. Uśmiechnął się do tych wspomnień.

- Czyli było wesoło - powiedziała wolno.

Znowu się do niego odzywa. Nawet chyba się trochę uśmiecha. Czyli mu wybaczyła.

- Było wesoło, owszem - potaknął, pokrzepiony na duchu. - Zjeźdzaliśmy, póki taśma nie zaczęła puszczać. Chcieliśmy zjechać jeszcze ostatni raz. Wdrapaliśmy się na górę, staraliśmy z najbardziej stromej strony i wskoczyliśmy na materac. - Tylko nie zdążyliśmy

sprawdzić, czy nie ma jakiejś przeszkody.

- Aha - rzekła domyślnie.

- No właśnie. Na samym dole rósł potężny dąb. Rąbnęliśmy prosto w niego.

- Nic wam się nie stało?

- Ja złamałem kostkę, Chet nos. Do tej pory ma garbek. Mama pocieszała go, że dodaje mu charakteru. Ja mówiłem, że wygląda jak zawodowy bokser.

Mia się roześmiała.

To był cichy śmiech, ale w jednej chwili zrobiło się inaczej. Ciepłej, bardziej domowo. Nie chciał się temu poddać, ale daremnie.

Zawtórował jej.

Po raz pierwszy naprawdę ze sobą rozmawiają, normalnie, jak starzy znajomi. Opowiadają o swoich przeżyciach.

To naprawdę zaskakujące.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudziła się raptownie. Czowała, że coś jest nie tak. W panującej w pokoju ciszy słyhać było jakieś odgłosy. Jakby ktoś nabierał powietrza, a potem delikatnie je wypuszczał. Jakby ktoś oddychał.

Ktoś inny niż ona.

Przecież poza nią nikogo tu nie ma. Coś jest nie tak.

Powoli otworzyła oczy i spostrzegła dziecinne łóżeczko.

Katie.

Niemowlę. Śnieżyca. Omlety. Wszystko nagle się jej przypomniało.

Przenocowała u Maca.

Wczoraj zjedli razem kolację. Paplali i zaśmiewali się z różnych historyjek, razem sprząтали naczynia.

Potem Katie się obudziła, więc nakarmiła ją i ułożyła do snu. I sama też poszła spać. W gościnnej sypialni Maca. W jego bawełnianym podkoszulku zamiast piżamy.

Popatrzyła na zegarek.

Już siódma.

Katie przespała całą noc.

Powinna zerwać się i wziąć prysznic, nim dziecko się obudzi. Odsunęła brzeg kołdry i natychmiast ściągnęła ją z powrotem, by zatrzymać ciepło.

W nocy chyba zgasło w piecu, bo w pokoju jest przeraźliwie zimno.

Jeśli zostanie w łóżku, Mac w końcu wstanie i podłączy piec albo coś przy nim pomajstruje, żeby zadziałał.

Ale jeśli nie da się tego naprawić?

Pomyślała o Katie. Zacisnąwszy zęby, wyszła spod ciepłej kołdry i podbiegła do łóżeczka. Spod kocyka widać było tylko pukle płomiennych włosów.

Delikatnie dotknęła buzi dziecka. Ciepła. Odetchnęła z ulgą.

Drżąc z zimna, ruszyła do pokoju Maca. Zastukała. Odpowiedziała jej cisza.

Otworzyła drzwi i zawołała:

- Mac?

Nie odezwał się.

Sądząc po chrapaniu, spał mocno.

Wiedziała, że jeśli nie zrobi coś z ogrzewaniem, może zamarznąć instalacja. Zresztą wszyscy zaraz tu zamarzną. Weszła do środka. W pokoju panował półmrok. Podeszła do łóżka. Pochyliła się i dotknęła ramienia Maca. Nagiego ramienia.

Jest bardzo ciepły. Wręcz gorący.

Jest gorący, ale nie jako mężczyzna. Choć może też, ale to do niej nie przemawia. Nie, zdecydowanie nie. Co z tego, że podoba się kobietom, że rozpływają się w zachwytach. Ona zawsze widziała go takim, jakim jest. Nie robi na niej wrażenia. Jest na to zbyt rozsądna.

Właśnie, jest zbyt rozsądna. Dlatego nie powinna teraz się w niego wpatrywać, tylko szarpnąć porządnie, żeby wstał i zrobił coś z tym ogrzewaniem, a ona mogła pójść do ciepłego łóżka.

- Mac. Obudź się. W domu jest zimno.

- Co?

- Mac, wstawaj. Martwię się o dziecko. Natychmiast oprzytomniał.

Gwałtownie usiadł na łóżku.

- Co jest z dzieckiem?

- Jeszcze nic, ale w domu zrobiło się strasznie zimno. Okropnie zimno. Musisz podłączyć piec czy co tam trzeba.

- Cała się trzęsiesz. Wracaj do łóżka, a ja sprawdzę, co się stało.

Mogła się spierać, ale jest za zimno na dyskusje.

- Dzięki. W razie czego wołaj.

Pobiegła do siebie i wślizgnęła się pod kołdrę. Chce wracać do domu. Albo do pracy. Wszędzie, tylko nie tu.

Miała dziwne sny. We śnie był z nią mężczyzna. Mężczyzna bardzo podobny do Maca, choć nie miała pewności, czy to był on. Zresztą gdyby

śnił jej się Mac, nie byłby to przyjemny sen, ale koszmar.

Z łóżeczka Katie dobiegł stłumiony dźwięk. Wstała, otuliła się kołdrą i podeszła do dziecka.

- Witaj, śpioszku. Katie zaczęła gaworzyć.

- Jaka grzeczna z ciebie dziewczynka, prawda? Pochyliła się i wzięła dziecko na ręce.

- Chodź, pójdziemy na dół. Zobaczymy, czy Mac już coś zdziałał. Tam ci zmienimy pieluszkę i dostaniesz butelkę. Co ty na to? Okryła szczelnie dziecko kocykiem, poprawiła też otulającą ją kołdrę. Potem ruszyła na dół. W kominku wesoło płonął ogień.

- Och, jak świetnie się sprawiłeś - powiedziała, siadając na podłodze jak najbliżej ognia. - W nagrodę to ja zmienię jej pieluszkę.

- Mogę palić choćby do czerwca, jeśli za to wybawisz mnie od tego zajęcia.

- Tylko że w czerwcu mnie tutaj nie będzie. A skoro już o tym mowa, to muszę jak najszybciej wracać do domu. - Bo już nie może się tego doczekać.

Na widok jego miny ogarnął ją niepokój.

- Chyba nie muszę tu już dłużej siedzieć? - zapytała.

- Wyglądałaś dzisiaj przez okno?

- N-i-e - powiedziała przeciągle.

- Pamiętasz, jak było wczoraj wieczorem? - Tak.

- Dziś jest znacznie gorzej. O wiele gorzej. Nie ma prądu, dlatego siadło ogrzewanie. Na szczęście w piwnicy mam piec na drewno. Poprzedni właściciel ogrzewał nim dom. Nowoczesny piec jest wygodniejszy, ale w takich sytuacjach jak ta, ten stary bardzo się

przydaje. Chciałem najpierw rozpalić w kominku, to tutaj się ogrzeje. Przypilnuj Katie, a ja zejść na dół. Dobrze?

- Dobrze.

Wyszedł. Zgarbiła plecy. Czuła się fatalnie. Jest skazana na pozostanie w jego domu, w dodatku nie wiadomo, jak długo to potrwa.

Wczorajszy wieczór naprawdę był zaskakujący. Było bardzo przyjemnie. Opowiadali o sobie, zajmowali się dzieckiem, wspólnie sprząkali. Niemal jak para.

Tylko że Larry Mackenzie jest ostatnią osobą, z którą byłaby skłonna wejść w takie układy.

A teraz wygląda na to, że jest tu uwięziona.

- Pięknie - powiedziała do Katie. - Po prostu pięknie. Dziecko zagulgotało radośnie. Katie taka pogoda wcale nie przeszkadza.

No cóż, przynajmniej jedno z nich jest zadowolone.

- Mac - zagadnęła, bo przedłużająca się cisza była coraz trudniejsza do zniesienia.

Skoro już nie ma wyjścia i jest skazana na siedzenie u niego, póki pogoda się nie poprawi, to niech przynajmniej z nią porozmawia. W końcu nie jest tutaj z własnej woli, ale dlatego, że chciała mu pomóc. Została ukarana za dobre serce.

Dzień minął nieśpiesznie. Ich zajęcia koncentrowały się albo wokół pogody, albo wokół dziecka.

W zasadzie trudno powiedzieć, co było lepsze.

Mac próbował odśnieżyć podjazd i dojście do domu, ale śnieg sypał tak mocno, że wkrótce po jego pracy nie było śladu. Znowu wszystko zaścielał biały puch.

Jej przypadły znacznie przyjemniejsze zajęcia. Siedziała sobie w przytulnym pokoju z Katie, tuż przy kominku, gdzie było najcieplej. I zachwycała się niemowlęciem.

Katie nie tylko potrafi raczkować, umie też siadać. Wprawdzie czasami nie udaje się jej utrzymać równowagi, jednak idzie jej coraz lepiej. Przyglądała się jej zauroczona. Dziewczynka, zadowolona ze swoich dokonań, gaworzyła i śmiała się wesoło.

Katie zawojowała ją. Popatrzyła na dziewczynkę śpiącą w ramionach Maca. Serce w niej topniało. Nie z powodu Maca trzymającego dziecko z zaskakującą czułością. To mała budzi w niej takie ciepłe uczucia.

Celowo chciała skupić się na czymś innym niż ta para jak z obrazka.

Próbowała zająć myśli lekturą, jednak żadna z książek stojących na półkach nie przykuła jej uwagi. Same kryminały i powieści sensacyjne rozgrywające się w środowisku prawniczym. Wzięła jedną, ale nie mogła skoncentrować się na akcji. W ogóle jej nie interesuje.

Pewnie dlatego mimowolnie wciąż zerka na Maca. Denerwuje ją, jednak to lepsze niż ta beznadziejna książka.

Sposób, w jaki trzyma Katie... aż dziwnie się czuje.

Nie.

To nie chodzi o Maca, tylko o słaby wybór jego książek. Chętnie by sobie teraz poczytała jakiś romans, coś naprawdę relaksującego. Tylko że on nie należy do tych romantycznych z natury. Doskonale pamięta jego kolejne panienki. Zmienia je jak rękawiczki. To nie jest facet, który chciałby związać się z kimś na poważnie. Choć może w stosunku do dziecka będzie bardziej stały.

- Mac - powtórzyła. - Co zamierzasz zrobić z Katie? Naprawdę chcesz ją oddać?

Do rozmownych również nie należy. Może nawet nie zechce odpowiedzieć.

Przez chwilę milczał. - Nie powiedziałem, że chcę ją po prostu oddać. Zamierzam znaleźć jej dobry dom. Nie, to za mało powiedziane. Najlepszy dom. Chętni do adopcji będą się o nią bili.

- Czyli jesteś zdecydowany, by jej nie zatrzymać? Myślałam, że może zmieniłeś zdanie, gdy poznałeś ją bliżej.

Gdyby mała została u Maca, mogłaby ją odwiedzać. Mogłaby od czasu do czasu się nią zajmować. A nawet...

- To już postanowione. Nie zostanie u mnie. Nie zamierzam mieć dzieci. W ogóle. - W jego głosie zabrzmiała stanowczość.

Czyli z jej planów nici. Ogarnął ją smutek.

- Tak nie powinno być. Obserwowałam, jak sobie z nią radzisz. Masz zadatki na dobrego ojca.

- To tylko pokazuje, jak mało wiesz - rzekł i umilkł. Intuicja podpowiadała jej, że niechcący dotknęła czulej struny, czegoś, co boleśnie w nim tkwi. Impulsywnie wyciągnęła rękę i nakryła nią jego dłoń.

Chciała go tylko pocieszyć, wesprzeć. Ale na nią podziałało to inaczej.

Miała uczucie, jakby nagle zupełnie inaczej zaczęła odbierać jego obecność. Nie jest już tylko kolegą z pracy, który stale ją denerwuje i złości. To, co czuje, to coś znacznie więcej, coś wykraczającego poza ramy ich nieustających sprzeczek i kłótni.

Cofnęła rękę. Nie chce, by z tego coś wynikło. Dotychczasowy układ najbardziej jej odpowiada. I oby dało się go zachować. Wrócić w

poniedziałek do pracy i nadal zachowywać się jak dawniej. Choć ma wątpliwości, czy to jest jeszcze możliwe.

- Widzisz tylko fragment - ciągnął Mac. - Patrzyłaś na mnie i Katie wczoraj i dziś. To tylko dwa dni. Tak naprawdę to nic nie znaczy. Przez dwa dni każdy może być świetnym rodzicem. Ale tu chodzi o całe życie Katie. Należy się jej coś lepszego, niż ja jej mogę zapewnić.

- Uważasz, że nie będziesz w stanie traktować jej z troską i oddaniem?

- Właśnie.

- Niechętnie to mówię, bo zabrzmiałoby jak komplement, jednak powiem. Nie zgadzam się z tobą. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, że zawsze staram się wyszukać w tobie jak najgorsze rzeczy, ale teraz zobaczyłam cię od innej strony. Choć chciałeś to ukryć. Nie chodzi tylko o te dwa dni. Minęły miesiące od chwili, gdy zgodziłeś się zostać opiekunem dziecka kobiety, której w ogóle nie znałeś. Od dawna pracujesz jako wolontariusz, pomagasz dzieciom, o które nikt się nie troszczy. Teraz, gdy trzymasz Katie, też czynisz to jak ktoś, kto chce dla niej jak najlepiej. Tej małej niczego więcej nie trzeba. Ma kogoś, komu na niej zależy. Kogoś, kto ją pokocha.

- Przemawia przez ciebie nie rozsądek, a serce. - W jego tonie zabrzmiała drwiąca nuta.

Ten ton zawsze doprowadzał ją do wściekłości. Ale nie tym razem. Teraz wypełniały ją całkiem inne uczucia. Nie chciała się w nie wgłębiać, lecz to z całą pewnością nie była złość.

- Jako prawnik - ciągnął Mac - starannie analizuję każdą sprawę i opierając się na dostępnych faktach, wypracowuję dalszą strategię. Dla

mnie nie liczy się to, co mówi klient, ani nawet to, czy jest winny czy nie. Nie jest istotne wrażenie, ale cały obraz. - Powiesz, jak to wygląda z twojego punktu widzenia? Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Poprzestańmy na tym, że pewne okoliczności wskazują, że nie mam predyspozycji na rodzica. Powiada się, że każdy w jakimś sensie powielił model zachowań, jaki wyniósł z domu. Do własnych dzieci odnosi się tak, jak niegdyś odnosili się do niego jego rodzice. Nie życzę tego żadnemu dziecku. Dlatego nie zamierzam mieć dzieci. W ogóle. Nawet Katie.

Chciała zaproponować. Ma za sobą przykre doświadczenia, ale to nie jest najważniejsze. Bo da sobie głowę uciąć, że Mac byłby wspaniałym ojcem. Bez względu na swoją przeszłość.

Jednak instynktownie czuje, że Mac nie uwierzy tym zapewnieniom.

Była pewna, że tak dobrze go zna. Stanowczy, pewny siebie adwokat. Człowiek, który potrafi rozbawić innych. Za którym uganiają się kobiety, on jednak z żadną nie wiąże się na dłużej.

I nagle ujrzała go z całkiem innej strony. Mogłaby mu o tym powiedzieć, ale on i tak nie uwierzy.

- Dobrze - rzekła tylko. Zaskoczyła go.

- Tylko tyle? Nie będziesz mnie naciskać, wyciągać na zwierzenia?

- Jeśli sam zechcesz mi coś powiedzieć, chętnie wysłucham. W końcu po to się ma przyjaciół.

- Mówisz o nas? Uważasz, że jesteśmy przyjaciółmi? Uśmiechnęła się,

- Trudno w to uwierzyć, ale chyba rzeczywiście tak jest. Zgadzam się, że to brzmi szokująco. Gdybyś coś takiego powiedział mi jeszcze parę

dni temu, roześmiałabym ci się w twarz. Ale im dłużej jestem tu z tobą, tym bardziej do mnie dociera, że w naszym układzie coś się zmieniło, że jest jakoś inaczej.

- Uważaj, żeby te zmiany nie poszły zbyt daleko - rzekł, poważniejąc.

- Nie rozumiem.

- To co powiedziałem. Przyjaciółmi możemy być, nie ma sprawy. Tylko przypadkiem nie zakochaj się we mnie. Nawet gdybym chciał się z kimś związać - zawiesił głos - a wcale tego nie chcę, to na pewno nie z tobą. Należysz do kobiet, które nie zadowolą się namiastką. Chcesz mieć wszystko. Moje podejście jest krańcowo różne. Poza tym pozabijalibyśmy się wzajemnie. Dlatego zejź na ziemię. Nie jestem facetem dla ciebie.

Starła się, i to bardzo, zdusić rosnący w niej śmiech. Wie, jak drażliwi potrafią być na swoim punkcie faceci. Jednak to było ponad jej siły.

Z jej ust wydobył się stłumiony śmiech.

Dziecko poruszyło się niespokojnie, wtuliło buzię w pierś Maca i znowu usnęło.

Próbowała się opanować, powstrzymać śmiech, ale nie mogła. Śmiała się coraz głośniejszym, coraz serdecznym głosem. Łzy popłynęły jej z oczu.

- Co jest? - zapytał, ścisząc głos. W jego oczach malował się niepokój.

To jeszcze bardziej ją rozśmieszyło.

- Och ty zarozumiałcu... - urwała i nabrała powietrza, by choć trochę ochłonać. - Coś ci powiem, Larry. Uświadomiłam sobie, że cię lubię, co i tak można uznać za cud. Ale miłość?

Znowu zaniosała się śmiechem.

- No dobrze, może to nie było aż takie zabawne - mruknął ponuro.

- Jasne, że było. Ty i ja? Jako para? Zakochani bez pamięci?

Wszyscy w kancelarii chyba by pospadali ze stołków. Pasujemy do siebie jak pięść do oka. Przyznaję, że cię nie doceniałam. Myliłam się co do ciebie. Naprawdę uważam, że byłbyś dla Katie wspaniałym ojcem. Ale widzieć w tobie ewentualnego partnera? Tego jedyne? Niestety, nie łapiesz się. Czekam na księcia z bajki. Innego nie chcę. Nasz układ trochę się zmienił, ale nie aż tak, żebym straciła rozum i chciała się z tobą umawiać.

- No dobrze.

Katie ziewnęła, rozprostowała rączki. Zamrugła. Mia odetchnęła z ulgą. Mała wybawiła ją z opresji. Bo rozmowa o Larrym i ich znajomości to trochę za duży stres.

- Właśnie przejechał pług - rzekł Mac. - Skoro odśnieżają moją uliczkę, to główne muszą już być przejezdne.

- To znaczy, że mogę wracać do siebie? - zapytała Mia i uśmiechnęła się szeroko.

Ten uśmiech popsuł mu humor. Nie musi aż tak się cieszyć, że wreszcie stąd wyjedzie.

Prawdę mówiąc, chodzi o coś innego. Już wcześniej nie miał dobrego nastroju. W zasadzie od tego jej histerycznego ataku śmiechu. Wcale nie chce, żeby się w nim zakochała.

Mia zakochana w nim?

O czymś takim od razu można zapomnieć.

Jednak ten niepohamowany śmiech ciągle brzmiał mu w uszach.

Prawie uwłaczająco.

Większość kobiet uważa go za łakomy kasek. Jest dobrą partią. Odnosi sukcesy, jest ambitny, zadbany. Mia mogłaby trafić gorzej.

Ale Mia zasługuje na dużo więcej, podszeptał mu wewnętrzny głos. To jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi.

- Od mniej więcej dwóch godzin śnieg już nie pada. Włączyli prąd, droga jest odśnieżona. Myślę, że powoli możesz się szykować.

- Super! W takim razie polecę na górę i przygotuję Katie do drogi. Przewinę ją i ciepło ubiorę.

Chwycała dziecko na ręce i tanecznym krokiem wbiegła na schody. Nie musi aż tak tryskać szczęściem, że stąd wyjeżdża.

Przecież nie doszło do żadnej kłótni, żadnej gwałtownej wymiany zdań.

Oboje zachowywali się bardzo przyzwoicie. Wręcz modelowo. W pracy nikt by nie uwierzył, że spędzili tyle czasu pod jednym dachem, i przeżyli.

Zdarzył się ten jeden przesadny wybuch śmiechu, ale nie warto nadawać temu zbytnej rangi. Wyszło na to, że mają takie samo zdanie. Tyle że Mia nie musiała pokładać się ze śmiechu.

Bo jakkolwiek by na to spojrzeć, przez całe popołudnie siedzi na kanapie i udaje, że czyta książkę, a bezwiednie robi słodkie oczy do niego i Katie.

Powiedział, żeby przypadkiem się w nim nie zakochała, ale to była tylko niewinna uwaga. Na wszelki wypadek. Mogła skwitować ją lekkim uśmiechem, ale żeby zaraz tak się śmiać? Przegięła.

Cóż, nie poczuł się tym dotknięty.

Za nic by nie chciał, żeby Mia straciła dla niego głowę.

Nacisnął wreszcie przycisk pilota, by uruchomić samochód. Ogrzeje się w środku, nim wyjdą z domu. Nie chce, by Katie zmarzła.

- Już jesteśmy! - zawołała Mia, zbiegając po schodach. - Jeszcze tylko trzeba ją opatulić.

- To zacznij się ubierać, a ja zajmę się Katie. Masz tyle warstw, że to chwilę potrwa.

Zmierzyła go jadowitym spojrzeniem. Swoim typowym spojrzeniem. Dopiekł jej tą uwagą. Jest wściekła.

Czyli wszystko wraca do normy.

I bardzo dobrze, bo odkąd zabrał ją wczoraj po pracy, nic nie było normalne.

- Chodź, Katie. Zobaczymy, czy już idzie mi lepiej.

Z namaszczonej miną zaczął wciągać na małą ciepły kombinezon. Dziecko wierzgało nóżkami i gulgotało radośnie. Zabawa bardzo się jej podobała.

Celowo koncentrował się na dziecku. Mia wkładała na siebie kolejne ciuszki. Ma ich tyle, a chyba wcale nie jest jej w tym ciepło.

Powinna kupić płaszcz.

Płaszcz odpowiedni na zimę. Długi, żeby było jej ciepło w nogi.

Czy ona nie wie, że mieszka w Erie? Przez dobre pół roku jest zimno i sypie śnieg. Nie myśli o tym, że do zimy trzeba się przygotować?

- Katie jest gotowa - oznajmił, zapinając pas fotelika.

- Ja też - powiedziała Mia. Poruszała się nieco sztywno.

- To możemy iść? Samochód już się nagrzał.

- Nie słyszałam, żebyś wychodził.

- Włączyłem zapłon pilotem.

- Aha. Wczoraj właśnie o tym myślałam. Gdy będę kupować nowy samochód, to z takim automatem i z podgrzewanymi fotelami. Z napędem na cztery koła. - Westchnęła tęsknie.

Oby to stało się niedługo, pomyślał. Bo jej samochód nadaje się tylko na złom. Po prostu gruchot.

- Chodźmy - rzekł, otwierając drzwi. Mroźne powietrze uderzyło go w twarz.

- Mogłabyś zamknąć dom? - zawołał przez ramię, pośpiesznie idąc do samochodu, by jak najszybciej zapakować Katie do środka.

Przypiął fotelik i wskoczył na swoje miejsce. Mia wsiadła w tej samej chwili.

- Wiesz co? Może nie jedźmy do firmy po twój samochód, tylko od razu zawiozę cię do domu? Pogoda jest lepsza, ale warunki są trudne. W poniedziałek rano przyjadę po ciebie.

Spodziewał się, że zaoponuje, ale zaskoczyła go.

- To dobry pomysł, żebyś teraz mnie odwiózł - powiedziała. - O poniedziałek się nie martw. Zadzwońię do Donovana. On ma do mnie po drodze. - Zgoda - przystał.

No i dobrze. Musiałby specjalnie zbaczać, żeby ją zabrać. I tak będzie mieć urwanie głowy z dzieckiem, więc w sumie dla niego to dużo lepiej.

Tak, całkiem dobrze.

Nieoczekiwanie znowu ogarnęło go to dziwne uczucie, jakiego doświadczył wcześniej.

Pasowało mu, że jazda wymagała koncentracji. Mógł sobie darować

rozmowę i skupić się na drodze. Przez ostatnią dobę nagadali się za wszystkie czasy. Mia pewnie też ma tego serdecznie dość.

Podjechał pod jej dom, zatrzymał samochód.

- Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie ma za co. Wolałabym tego nie mówić, ale to naprawdę była dla mnie przyjemność.

- Ja... - Zapomniał, co chciał jej powiedzieć. Słowa rozwiły się gdzieś, gdy patrzył na jej uśmiech. Urzekający, odbierający zdolność składnego mówienia. Uśmiech, który sprawia, że chce tylko.

Nim zdał sobie sprawę z tego, co robi, pochylił się i pocałował ją. Delikatny, czuły pocałunek, zapraszający, ale nie nalegający na więcej.

Pocałunek, który może zaraz się skończyć, choć gdzieś tli się nadzieja, że do tego nie dojdzie.

Przycisnęła usta do jego warg, oddała pocałunek.

To Mac odsunął głowę.

- Dziękuję – powiedział.

- Siedziała nieruchomo, jakby odurzona tym, co się stało. Po chwili na jej twarzy odmalował się szok i oblała się rumieńcem.

- Proszę. Do widzenia - powiedziała, otwierając drzwi i wybiegając z auta.

Patrzył, jak biegnie do niewielkiego zaniedbanego budynku.

Co on, do diabła, najlepszego zrobił?

Trzy godziny później nadal rozważał ten swój niewczesny wyskok. Co też mu przyszło do głowy, by całować Amelię?

Katie spała smacznie w swoim łóżeczku. Obok siebie miał elektroniczną nianię. Nastawił odbiornik na maksimum. Słyszał każdy wdech i wydech dziecka.

Musi przestać się tym zamezczać. Zająć myśli czymś innym niż Mia i ten pocałunek.

POCAŁUNEK.

Bo tak teraz o nim myśli.

Całował się z Mią. Kto by pomyślał?

Ten delikatny pocałunek obudził w nim pragnienia... chciałby zakosztować czegoś więcej. Chciałby...

Dźwięk telefonu wyrwał go z tych rojeń.

- Halo? - Może to Mia? Może ona też nie umie przestać myśleć o tym pocałunku?

- Cześć, skarbie - w słuchawce rozległ się pogodny głos pani Z.

To nie Mia. Oczywiście, że nie. Z pewnością zapomniała o nim w chwili, gdy tylko odjechał spod jej domu.

- Cześć - odparł. - Co słyszać? - Dzwonię żeby się dowiedzieć, jak przeżyłeś śnieżycę. U nas spadło jakieś dziesięć centymetrów śniegu, więc jeździ się fatalnie. Ale mam nadzieję, że do poniedziałku drogi będą przejezdne.

- Prawdę mówiąc jest bardzo ciekawie, choć nie z powodu pogody.

- Pokrótkę opowiedział całą historię o dziecku, wspomniał o pomocy ze strony Mii. O pocałunku nie powiedział ani słowa. Na zakończenie dodał, że musi znaleźć dom dla Katie. Pani Z. słuchała uważnie. Umie słuchać.

- No to jesteś bardzo zajęty - podsumowała ze śmiechem.

- Mogę liczyć na twoją pomoc?

Nie znosi proszenia o pomoc. Ledwie się przemógł, by poprosić Mię. Z panią Z. sprawa jest łatwiejsza. Wie, że z pewnością nie odmówi. Zrobi dla niego wszystko, co w jej mocy.

- Czego ci trzeba, złotko?

- Chętnie bym usłyszał twoje zdanie, gdy już wybiorę kandydatów na rodziców Katie.

- Jak wiesz, zawsze mam zdanie na każdy temat i chętnie się nim dzielę, co nie zawsze spotyka się z aplauzem ze strony Cheta i Sala.

Mac się roześmiał.

Nie raz zgrzytali zębami, słysząc jej sądy, ale z ręką na sercu musi przyznać, że nigdy się nie myliła.

- Dzięki. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- No to powiedz mi teraz, co z tą Mią - zagaiła spiskowym tonem. Zawsze stara mu się naraić jakąś pannę.

- Nic. Po prostu. Gdybyś nas zobaczyła, od razu byś wiedziała, że nie ma szans na jakikolwiek układ.

Nie zamierza mówić jej o tym pocałunku. To rzecz bez znaczenia.

Nie raz całował się z kobietami. I nie raz jeszcze będzie. Choć teraz miał ochotę tylko na Mię. Chyba oszalał.

- Nawet słowem nie wspomniałam o jakimś układzie - odezwała się pani Z. - Choćby słowem.

A on nie powie słowa o tym pocałunku. Nie będzie o nim myśleć, nie będzie o nim mówić. To był przypadkowy incydent wywołany przez stres.

To już przeszłość.

Musi myśleć o dziecku. To jest teraz jego problem. Do jutra pewnie

całkiem zapomni o tym POCAŁUNKU.

- Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu - powiedział.

- Koniecznie. Bardzo mnie ciekawi, co będziesz miał do powiedzenia na temat Mii.

Nic, pomyślał, odkładając słuchawkę.

Na temat Mii nie będzie miał nic więcej do powiedzenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Mia! - od progu rozległo się wołanie wchodzącego do kancelarii Maca.

Znowu nie otrzepała butów ze śniegu, ale nie zwróciła na to uwagi. Bo od razu spostrzegła, że niesie fotelik z niemowlęciem.

Wczoraj nie mogła znaleźć sobie miejsca. Brakowało jej Katie. I martwiła się, jak Mac sobie z nią radzi.

Wiele razy podnosiła słuchawkę i po chwili odkładała ją z powrotem. Chciała się dowiedzieć, co u nich słychać, ale nie mogła się zdobyć na telefon. Nagle zrobiła się jakaś dziwnie nieśmiała.

Mac zawsze budził w niej wiele uczuć, ale zupełnie innego rodzaju. Złość, gniew, zniecierpliwienie, jak najbardziej. Ale nieśmiałość? To się jej nigdy nie zdarzyło.

Jeden weekend, a tyle się zmieniło. Choć nie dlatego, że spędzili z sobą trochę czasu.

Ich układ znacząco się zmienił z powodu tego pocałunku.

Przez całą niedzielę wyszukiwała sobie różne zajęcia. Prała, rozmawiała z braćmi, sprzątała... ale przez cały czas jej myśli szybowały w jedną stronę. Mac ją pocałował. A ona oddała pocałunek.

To drugie jest jeszcze bardziej niepokojące.

Co też jej strzeliło do głowy, żeby to zrobić? O czym myślała?

Właśnie. Problem w tym, że wcale nie myślała.

To przez to przestawanie z nim od rana do nocy. To zamąciło jej w głowie. Nie ma innego wytłumaczenia. Inaczej nigdy by go nie pocałowała.

Nigdy.

Wczorajszy dzień, spędzony z dala od niego, dobrze jej zrobił. Nabrała dystansu. Ten pocałunek nic nie znaczy. Jednak na widok Maca, gdy wszedł tu razem z Katie, poczuła się trochę dziwnie.

Nie powinna się tym przejmować. Nie będzie zwracać na to uwagi. Musi zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Nie ma najmniejszego powodu, by czuć się nieswojo.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Cześć, Mac - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to tak jak zwykle. I natychmiast zgromiła się w duchu. Przecież powinna powiedzieć „Larry”.

Chyba nawet tego nie zauważył, bo rzekł pośpiesznie:

- Byłem umówiony z Brigittą, córką Lelanda, że zajmie się dziś Katie, bo ja przez cały dzień jestem w sądzie. Zadzwoniła z samego rana, że jej dzieci złapały gripę. Nie chcę ryzykować, że Katie się od nich zarazi, więc...

Urwał. Niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu. Mogła go zmusić, by je zadał głośno, ale zamiast tego zaproponowała:

- Popilnuję jej. Bardzo mi jej wczoraj brakowało. - Naprawdę mi pomożesz? - W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie.

- Jasne. Jesteśmy z Katie kumpelkami, więc chętnie to dla niej zrobię - dodała po chwili namysłu. Niech sobie nie myśli, że robi to dla niego.

- Wiesz, jaki jest pan Wagner - ciągnęła. - Ma bzika na punkcie rodziny. Biorąc pod uwagę wyjątkowe okoliczności, z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, by Katie pobyła tu cały dzień.

- O czym mówisz? - zapytał pan Wagner, wychodząc właśnie ze swego gabinetu. Siwowłosa i zawsze z pogodnym uśmiechem na twarzy, wprowadzał zycziwą, niemal domową atmosferę. Jest duszą tej firmy. Cała kancelaria kręci się wokół niego.

- Że nie będzie pan miał obiekcji, jeśli popilnuję dziecka Maca, póki on będzie w sądzie.

- To nie moje dziecko! - gwałtownie obruszył się Mac. Jakby ta wizja go przerażała.

- Mac, nie denerwuj się tak - zaśmiał się pan Leland. - Rozmawiałem rano z Brigittą i jestem we wszystko wprowadzony. Jest załamana, że tak cię zawiodła. Opowiedziała mi o twoich planach względem dziecka. Oczywiście, że nie mam żadnych zastrzeżeń. Znasz moje podejście do rodziny. A co bardziej tworzy rodzinę jak nie dziecko? Mała może tu być dowolnie długo, póki coś się nie wyklaruje.

- Dzięki - skinął głową Mac. Odwrócił się do Mii. - Wszystkie jej rzeczy są w tej torbie. Wiesz, co robić. Równie dobrze jak ja. - Popatrzył

na zegarek. - Już muszę pędzić, bo inaczej się spóźnię. - Jedź - powiedziała, biorąc od niego fotelik. - Po tym weekendzie na pewno ze wszystkim sobie poradzę.

- Dzięki, jesteś super. - Wybiegł z kancelarii.

- Po tym weekendzie? - ciekawie podchwycił pan Leland.

- Brigitta nic nie wspomniała, że przez ten weekend wydarzyło się coś istotnego.

- Bo nic takiego się nie stało - odparła, czując, że oblewa się rumieńcem.

Nie ma mowy, by ktokolwiek dowiedział się o tym pocałunku. Nie ma też zamiaru opowiadać o ich wspólnie spędzonym czasie.

Zaczęła wyjmować dziecko z fotelika. Udawała, że nie widzi domyślnego spojrzenia szefa. Przyglądał się jej badawczo.

- Przez ten weekend pomagałam mu trochę przy Katie - wyjaśniła, mając nadzieję, że to zaspokoi jego ciekawość.

- Pomagałaś Macowi? Z dobrej woli? I oboje przeżyliście?

- Pan Leland zaśmiał się. - Człowiek nigdy nie przestanie się dziwić - mruknął do siebie.

- No nie, przecież nie jesteśmy z Macem aż tacy bojowi.

- W firmie staliście się już legendą. Bez przerwy skaczecie sobie do oczu. Generalnie mogą być dwa powody takiego zachowania. - Odczekał, ale ponieważ milczała, kontynuował:

- Nie zapytasz, jakie?

- Nie. - Zaczęła rozpinąć dziecku kombinezon. - Ale założę się, że i tak mi pan powie.

- Jasne. To jeden z plusów mojej pozycji tutaj... i wieku. Mówię, a

wszyscy słuchają. No więc, jak już wspomniałem, mogą być dwa powody takich zachowań. Albo ludzie organicznie się nie znoszą...

- I to jest ten przypadek - weszła mu w słowo Mia. Wzięła niemowlę na ręce i pocałowała je w czółko. - Cześć, kotku.

Katie uśmiechnęła się i wesoło powiedziała coś po swojemu.

- ... albo... - powiedział wolno.

Przeniosła wzrok z dziecka na szefa. Uśmiechał się promiennie.

- Albo bardzo się sobie podobają, tylko oboje nie chcą tego przyznać. Dlatego całymi dniami kłócą się i sprzeczą z byle powodu, by ukryć wzajemną fascynację. Nie darmo się mówi, że kto się lubi, ten się czubi.

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczyła stanowczo. - Należymy do tego pierwszego rodzaju. Nie lubimy się. Tylko tak się złożyło, że oboje zachwyciliśmy się Katie. - Znowu musnęła ustami czółko dziecka. - Dlatego zawarliśmy rozejm.

Oczywiście, dokładnie tak. Ten pocałunek właśnie to oznaczał. Znak pokoju. Nic więcej. Wprawdzie to nie wyjaśnia, czemu pojawił się w jej śnie, ale nie zamierza tego dociekać.

Pocałunek na znak rozejmu. Symbol. Tylko to.

- Skoro tak mówisz. - Ton pana Lelanda jednoznacznie świadczył, że nie daje wiary jej zapewnieniom. Jednak nie naciskał jej więcej.

Pochylił się nad Katie. - Och, jaka śliczna panienska! - rzekł pieszczotliwie. - Jak ma na imię?

- Katie. Katie O'Keefe.

Uścisnęła ją leciutko. Nie pojmuje, jak Mac może chcieć ją komuś oddać. Gdyby Katie była jej...

- Katie - szczebiotał pan Leland. - Pójdiesz z dziadkiem Wagnerem? Wyciągnął ręce i Mia podała mu dziecko.

- Niech pan uważa - ostrzegła go. - Bo może się wyrwać. Umie też raczkować i całkiem dobrze idzie jej siadanie. Choć częściej się przewraca.

- Doskonale znam się na takich maluszkach - rzekł. Rzeczywiście wie, jak sobie radzić z malutkimi dziećmi,

przyznała w duchu, patrząc, z jaką wprawą przytrzymuje Katie na biodrze, głaszcząc małą pod bródką.

- Może się szarpać na wszystkie strony, a na pewno jej nie upuszczę.

- No dobrze - powiedziała.

- Może przejdę się z nią po firmie, żeby inni ją zobaczyli?

- Tutaj jest jej wystarczająco dobrze. Nie chcę nadużywać pana uprzejmości. I tak jestem wdzięczna, że pozwolił pan ją tutaj zatrzymać.

- Nie mydl mi oczu. Denerwujesz się, że ją upuszczę. Nie przejmuj się, nie czuję się urażony. Moje córki były takie same, gdy miały małe dzieci. Nadopiekuńcze. Zapomniały, że przecież je wychowywałem. Nie bój się. Obiecuję, że zaraz przyniosę ją z powrotem, całą i zdrową.

Nie mogła dłużej się przeciwstawiać. Uśmiechnęła się i skinęła głową, jednak w głębi duszy targały nią rozterki. Patrzyła, jak pan Leland wchodzi na schody.

To śmieszne. Niepotrzebnie się martwi. Pan Leland ma nieporównywalnie większe doświadczenie z dziećmi niż ona.

Katie nic się nie stanie.

Jednak czuła się fatalnie. Pewnie dlatego, że niepokoi się o małą. No

bo przecież nie ma innych powodów. Mimowolnie przed oczami ujrzała obraz Maca, ale od razu go odsunęła.

Pan Leland nie ma racji. Mac nic jej nie obchodzi, łączy ich tylko Katie. Oboje chcą dla niej jak najlepiej. I oboje są pod jej urokiem.

To wszystko.

Nic więcej.

I nic mniej.

Tak uważa, choć nie jest do końca przekonana, czy naprawdę w to wierzy.

Zmuszał się, by skupić się na rozprawie, bo mimowolnie ciągle wracał myślami do Mii i dziecka. W czasie obu przerw dzwonił do firmy, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Zdawał sobie sprawę, że Katie była tylko pretekstem. Chciał usłyszeć w słuchawce głos Mii. Wczoraj też cały dzień podchodził do telefonu, ale nie miał wymówki, by do niej zadzwonić.

Sam nie wie, dlaczego nagle tak mu na tym zależy, dlaczego tak bardzo chce z nią rozmawiać. Być z nią.

Gdy wyjechała, dom stał się pusty. Z Katie radził sobie nadspodziewanie dobrze. Dziecko jest naprawdę słodkie. Śmiało się i gaworzyło. Gdy spała, wsłuchiwał się w jej cichy oddech. Celowo ustawił odbiornik na maksimum.

Dzięki niej dom wreszcie wydawał się zamieszkały.

Kupił go pięć lat temu. Mieszkało się w nim całkiem przyjemnie, ale dopiero teraz poczuł, że to naprawdę jest dom. Dziecko wniosło tu życie. I nie tylko Katie.

Mia była tu krótko, ale też odcisnęła swoje piętno. Dom nabrał

ciepła, zmienił się. Tego mu tak brakowało w niedzielę, gdy jej już nie było.

O wpół do piątej wyszedł z sądu i po krótkim spacerze dotarł do kancelarii. Do Mii i Katie. Czuł się lekko jak nigdy.

- Jak tam moje dziewczyny? - zapytał od progu.

- Cii... - Mia wskazała głową na antyczne biurko. - Usnęła jakąś godzinę temu. Była bardzo zmęczona. To przez pana Wagnera. Przez całe popołudnie obnosił ją po biurze, chwalił się nią wszystkim.

Mac wybuchnął śmiechem.

- Czyli wszystko w porządku?

- Mówiłam ci to za każdym razem, gdy dzwoniłeś. Katie jest niesamowita. To najpogodniejsze dziecko pod słońcem. Zabawiała wielu klientów i bardzo mi pomogła. Wszystkich zawojowała.

Nie tylko klientów. Ją również. Nie powiedziała tego, ale widział to po jej oczach.

Straciła głowę dla tej małej. Gdy o niej mówiła, głos jej się zmieniał, nabierał miękkości. Nawet jej imię wymawia inaczej.

Przez moment zapragnął, by takim samym tonem wymówiła jego imię. Bez tej szyderczej nuty, którą zwykle słyszał.

- Mimo to bardzo ci dziękuję - rzekł. - Chciałbym jakoś wynagrodzić twoje starania.

- Jak? - zapytała. - Zapraszam cię na kolację z Katie i ze mną. Jej wczoraj też cię brakowało.

- Czy ja wiem, Larry... - powiedziała niezdecydowanie.

Teraz znowu usłyszał ten łagodny, miły dla ucha ton. Może nie aż taki, jak wtedy, gdy mówi o Katie, jednak to już coś. Jest też nieco

zakłopotana.

To dobrze się składa, bo on sam jest w kropce. Nie miał jeszcze czasu, by się nad tym zastanowić, ale coś nie daje mu spokoju.

Wie tylko, że bardzo mu zależy na tym wspólnym wieczorze. Chce z nią być.

Nie będzie się teraz nad tym rozwodzić, analizować problemu. Jest, jak jest, po prostu. I musi się z tym pogodzić.

Mia nadal milczała.

- Jesteś z kimś umówiona? - zapytał, czując przy tym pytaniu nieprzyjemny skurcz w żołądku.

- Nie.

Odetchnął. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, z jakim napięciem czekał na odpowiedź. Uśmiechnął się do dziewczyny.

- Masz już coś wcześniej zaplanowane? Kolację z hollywoodzkim amantem? Nie będę miał żalu, jeśli mnie przebije.

Mia się uśmiechnęła.

- Nie, nie w tym tygodniu. Choć liczę, że któryś wkrótce zadzwoni.

- Czyli podobają ci się tacy gogusie? - roześmiał się.

- Szczerze? Podobają mi się prawdziwi faceci, nie wymuskani pięknie.

- Ja na pewno nie łapię się do tych czarusiów - podjął z uśmiechem.

- Nie onieśmiałam cię. Innych może tak, lecz na pewno nie ciebie. Jesteś zauroczona Katie. W takim razie czemu odrzucasz zaproszenie na kolację? Proponuję pizzę ze wszystkimi składnikami. Jej uśmiech zgasł.

- Ten pocałunek - powiedziała cicho.

- Pocałunek? - zapytał zmieszany.

Odkąd się wczoraj rozstali, o niczym innym nie myślał.

Dlaczego ją pocałował?

Nie lubią się. Mia bezustannie się go czepia. Zaprasza ją dzisiaj, by zrewanżować się za jej pomoc. To dlatego tak ciągle o niej myśli.

Pomogła mu w weekend. I dzisiaj.

Tak, to wszystko wyjaśnia.

- To był tylko drobny gest, wyraz wdzięczności. Podziękowanie.

Nic więcej i nic mniej.

- Zawsze jak chcesz podziękować kobiecie, to całujesz ją w usta?

Znowu ma do czynienia z dawną Mią. Mia, która nigdy nie miała oporów, by coś mu wytknąć.

- To był tylko niewinny buziak, nic więcej. Mia, nie przesadzaj.

Jeśli kiedyś naprawdę cię pocałuję, nie będziesz mieć żadnych wątpliwości.

- Buziak? - rozległ się głos wchodzącego Donovan. Mia aż podskoczyła, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Kto komu dał buziaka? - zapytał Donovan.

- Ja - rzekła szybko. - Pocałowałam Katie. Larry się boi, że mogła złapać jakieś zarazki.

- Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale Katie na pewno nic nie będzie. Taką przynajmniej mam nadzieję. Bo nie tylko ty ją całowałaś, a połowa kancelarii.

Zarazki?

W ogóle o tym nie pomyślał. Co będzie, jeśli Katie zachoruje?

Poczuł ucisk w żołądku.

- Może na wszelki wypadek powinien obejrzeć ją lekarz - rzekł. -

Że też nie pomyślałem o tym wcześniej! Od razu trzeba było to zrobić. A jeśli coś jej dolega i wcale o tym nie wiemy?

- Na moje oko nic jej nie dolega - uspokajająco powiedziała Mia.

- Wygląda na zdrowe dziecko, ale to może być mylące wrażenie.

Może skontaktuję się z Brigittą. Jej dzieci chorują, na pewno poleci mi dobrego lekarza. Chyba da się to zrobić jeszcze dzisiaj, jak myślicie?

- Jest dosyć późno - powiedział Donovan.

- Mąż Louisy z The Chocolate Bar jest lekarzem - podsunęła Mia. - Pracuje w pogotowiu, ma mnóstwo małych pacjentów. Możemy poprosić, by wpadł i obejrzał Katie. Na pewno nie odmówi. Chcesz, żebym zadzwoniła? Sama wolę się upewnić, że nic jej nie jest, choć jestem przekonana, że dzieci trzeba przytulać i całować. Bez względu na zarazki.

Zależy jej, by przebadać dziecko. I zależy jej jeszcze na czymś innym - żeby Donovan się nie domyślił, że między nimi do czegoś doszło.

Pocałował ją, a ona jego.

Do tej pory nie bardzo wie, dlaczego to zrobił, ale bardzo chętnie by to powtórzył. Najpierw trzeba załatwić sprawę z lekarzem.

- Jeśli możesz, zadzwoń i dowiedz się, czy zgodziłby się obejrzeć Katie. Zrobisz to?

- Tak, zadzwonię od razu - odparła, sięgając po książkę telefoniczną.

- Mógłbym ci jeszcze zostawić Katie? Chcę na chwilę wpaść do swojego pokoju.

- Oczywiście. O, przy okazji. Przyszła do ciebie przesyłka. Położyłam ci na biurku.

Przysłali. Uśmiechnął się do siebie.

- Dzięki. - Pobiegł do schodów. I dopiero poniewczasie uzmysłowił sobie, że nie dogadali się co do kolacji. Był zły na siebie.

Donovan dogonił go przy schodach.

- To jak, pocałowałaś ją, przyznaj się. Odwrócił się gwałtownie.

- Zwariowałaś? Co ci przyszło do głowy?

Donovan nie odpowiedział. Wpatrywał się w niego znacząco.

Mac westchnął.

- No dobra, niech ci będzie. Pocałowałem ją. Nie mam pojęcia, dlaczego ona robi z tego takie halo. Ty też. Chciałem jej podziękować za pomoc. Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradził. W weekend i dzisiaj.

Skoro tak, to pewnie powinien pocałować ją jeszcze raz, za dzisiejszy dzień.

Całkiem niezły pomysł. Przyjemna perspektywa. Choć niebezpieczna.

- Każdego całujesz w podziękę? - ironizował Donovan. - Pomogłem ci w sprawie Rogersa, a wcale nie dostałem buziaka.

Zachichotał i wystawił usta do pocałunku.

Mac lekko szturchnął go w ramię.

- I nigdy się tego nie doczekasz. Zaręczam ci.

- Sarah odetchnie. - Donovan przestał się śmiać, spoważniał. - Zamierzasz jeszcze raz pocałować Amelię?

- Już nie Amelię - poprawił go. - Teraz nazywa się Mia. Wróciła do wcześniejszego imienia. Powiem tylko, że podeszła do tego zbyt poważnie. Cmoknięcie w policzek to w końcu drobiazg - dokończył, nie odpowiadając na pytanie.

- Cmoknięcie w policzek? - popatrzył na niego sceptycznie. - Chyba

ściemniasz.

- No dobra, nie w policzek, ale tak czy inaczej, to nic poważnego - wykręcał się. - Gdybym naprawdę ją pocałował, nie miałaby wątpliwości.

- Aha. - Donovan ruszył korytarzem.

Mac wszedł do swojego pokoju i podszedł do biurka. Otworzył stojące na nim pudło i uśmiechnął się. Wspaniale. Dokładnie to, co chciał.

Kolacja z Macem.

Zaplanowana.

Chyba coś z nią jest nie tak.

Wmawiała sobie, że przystała na jego propozycję tylko dlatego, że była głodna. Mac zamówił pizzę z grzybami i pepperoni. W jednej z jej ulubionych pizzerii, u Teresy.

- Uwielbiam pizzę - powiedziała, kończąc drugi kawałek.

Popatrzyła na śpiącą w foteliku Katie. Nie ma serca, by teraz ją poruszyć i obudzić.

Tylko że atmosfera robi się coraz bardziej napięta. Dziecko od razu by ją rozładowało. Bo gdyby nie ono, to na pewno by nie siedziała z Macem w jego kuchni, zjadając pizzę.

Mac chyba też czuł się trochę nieswojo. Tak w każdym razie wyglądał.

- Dzwoniłeś gdzieś w sprawie Katie?

- Nie - odparł. - Przez cały dzień byłem uwiązany w sądzie.

- Myślałam, że może w czasie przerwy.

- Nie. W czasie przerw dzwoniłem do ciebie.

- Zapytać o Katie - dodała pośpiesznie.

- Tak. Dowiedzieć się o nią. Inaczej bym nie dzwonił.

- Jasne - rzekła. - Nie wydzwaniamy do siebie. To inny układ.
- Inny. Bardziej... partnerski. Działamy wspólnie dla dobra Katie.
- Tak - potwierdziła z ulgą. Dobrze, że wyjaśnili sytuację. - Chodzi o dziecko. O nic więcej.

Zapadła cisza. W milczeniu kończyli pizzę, Katie spała spokojnie, zupełnie nieświadoma napięcia, jakie rosło między jej opiekunami.

- Muszę przynieść coś z samochodu - rzekł Mac, gdy skończył jeść.
Wstał.

- To idź - odparła z ulgą. - Ja tu trochę ogarnę. Może przez ten czas Katie się obudzi, to pomogę ci ją wykąpać.

Zabrała się do sprzątanía. Wycierała stół, gdy do kuchni wszedł Mac.

- Proszę - wręczył jej pudło. Miał niepewną minę. - To dla ciebie.

- Dla mnie?

- Chciałem ci podziękować za pomoc. Nie musiałaś tego robić, a jednak nie odmówiłaś. I to nie tylko w weekend, również dzisiaj.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To zupełnie niepotrzebne... Ja... - brakowało jej słów.

- Otwórz - nie dał jej dokończyć. - Sarah powiedziała, że będzie na ciebie w sam raz. Rozmiar i w ogóle.

Położyła pudło na stole i powoli je otworzyła. Coś czarnego... Płaszcz. Wyjęła go z pudła. Długi wełniany płaszcz. Mięciutki i ciepły. O wiele cieplejszy od jej starego płaszczyka.

- Mia - uprzedził jej protesty. - Znam ciebie i wiem, że zaraz zaczniesz się obruszać, zwłaszcza po tych moich uwagach. Nie chciałem ci dopiec. Po prostu wiedziałem, że taki płaszcz ci się przyda. Chciałem

wyrazić moją wdzięczność i dlatego... - urwał. Po chwili dodał: - Był na wyprzedzący.

- Mac, wcale nie będę się wściekać. To... - Przeciągnęła dłonią po miękkiej tkaninie. - To bardzo miły gest, świadczący o życzliwości i trosce. Wcześniej nigdy w ten sposób o tobie nie myślałam, ale ostatnio poznałam cię z całkiem innej strony.

- Będiesz go tak trzymać czy przymierzysz? - zapytał, wyraźnie zmieszany komplementami, jakie padły z jej ust.

Tym też ją zadziwił. Okazuje się, że naprawdę bardzo mało o nim wie.

- W razie czego można go wymienić, gdyby nie pasował rozmiar, ale Sarah powiedziała, że na pewno będzie w sam raz, więc...

Wziął od niej płaszcz i pomógł jej go włożyć.

Leżał jak ułamek. Sięgał za kolana.

- Jest śliczny - powiedziała.

- Nie chodziło mi o to, żeby był śliczny. Zależało mi, żeby był ciepły.

- Jest i śliczny, i ciepły. Nie musiałeś tego robić, ale bardzo dziękuję. - Nim zastanowiła się nad tym, co robi, pocałowała go w policzek.

Teraz to ona się zmieszała.

Cofnęła się, ale przytrzymał ją, obejmując i przyciągając do siebie.

- Proszę - powiedział, zniżając głos. - Mia, ja...

Nie dała mu dokończyć. Intuicyjnie czuła, czego chce. I sama też tego chciała, choć nie wiedziała dlaczego. Pochyliła się ku niemu i pocałowała go jeszcze raz. Tylko nie w policzek, a w usta.

Miał to być szybki pocałunek. By rozładować przepelniającą ją dziwną tęsknotę. Ale wyszło inaczej.

Mac przygarnął ją mocniej. To już nie był lekki, niezobowiązujący buziak. Nagle płaszcz zaczął jej przeszkadzać. Chciała być bliżej Maca, jak najbliżej. Czuć ciepło jego ciała, być...

Dźwięk dzwonka natychmiast sprowadził ją z obłoków.

Mac zaklął pod nosem.

- Kto to może być?

Z trudem zbierała myśli.

- Może Joe? Miał wpaść obejrzeć Katie - wydusiła zdyszonym głosem.

- Ma niezłe wycucie - mruknął Mac, puszczając ją. Odeszła kilka kroków. Musi trzymać się na dystans.

- To nawet dobrze. Bo nie wiadomo, jak by się skończyło.

Dzwonek znowu zadzwonił. Katie poruszyła się niespokojnie, zakwiliła.

- Przypomnij mi później, to powiem ci, co by było dalej. Zdjęła płaszcz, jeszcze raz przeciągnęła dłonią po miękkiej wełnie. Podeszła do dziecka.

Na pewno nic mu nie będzie przypominać. Nie ma takiej potrzeby, bo nie zamierza go jeszcze raz całować. Ma przed sobą plany, świetlaną przyszłość. Całowanie się z nim może być miłym urozmaicheniem, ale bez przyszłości.

Dlatego to już się więcej nie powtórzy.

Choć nie ma niczego, czego by mocniej pragnęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Joe Delacamp nie był sam. Razem z nim przyjechała Louisa.

Louisa mieszkała w Square od niedawna. Prowadziła The Chocolate Bar, sklep z łakociami. Serdeczna i życzliwa, bardzo szybko wtopiła się w tutejszą społeczność.

Przyjemnie było patrzeć na nią i jej męża. Już na pierwszy rzut oka widać było, że są z sobą bardzo szczęśliwi. Każdy zawsze ma podobne odczucie, patrząc na Sarah i Donovana albo Libby i jej Josha.

Mac, jako zatwardziały kawaler, na widok takiego małżeńskiego szczęścia powinien zmykać, gdzie pieprz rośnie, ale nie obawiał się. Na pewno nie da się omamić. Jest uodporniony.

- Usłyszałam o maleństwie i nie mogłam się oprzeć, żeby nie przyjechać - uśmiechnęła się Louisa, mijając go i idąc do Mii trzymającej Katie.

- Amelia? - zdziwiła się. - Ciebie się tu nie spodziewałam.

- Mia - poprawił ją Mac.

Uśmiechnął się. Ładnie brzmi to jej nowe imię. I o wiele bardziej do niej pasuje. Jak mógł wcześniej tego nie spostrzec? Może był zbyt pochłonięty roztrząsaniem jej prawdziwej natury. Ale teraz go to uderzyło. Mia popatrzyła na niego z ukosa. Ostro.

- Cześć, Louisa - przywitała się. - Chciałam pomóc Macowi. Wiesz, jacy są mężczyźni, jeśli chodzi o niemowlęta. Nie mają pojęcia, jak do nich podejść. Mac z założenia jest taki, więc sama rozumiesz, jak bym się denerwowała, gdyby został z Katie Sam na sam.

Powinien poczuć się urażony. W końcu radził sobie z Katie wcale nie gorzej niż Mia. Ale zamiast się skrzywić, uśmiechnął się szeroko. Mia

spochmurniała.

Próbuje sprowadzić ich znajomość na wcześniejsze tory, olśniło go. To mechanizm obronny. Ale dlaczego czuje się zagrożona?

POCAŁUNEK.

W dodatku nie jeden.

Pocałunki.

Było ich kilka. I to ją tak niepokoi, że chce się przed nim bronić.

Uśmiechnął się szerzej. Mia zrobiła się jeszcze bardziej ponura.

- Hej, wy! - Joe przywołał ich do porządku. - Nie ma Donovana, żeby was otrzeźwił, więc ja muszę to zrobić. Nie pojmuję, jak wy sobie radzicie, gdy nie ma rozjemcy?

- Wierzę, że nie możesz sobie tego wyobrazić - rzekł Mac. -

Powiedzieć ci?

- Przestań - wtrąciła się Mia. - Joe nie ma ochoty słuchać o naszych przepychankach. Zrobił nam grzeczność, przyjeżdżając, żeby obejrzeć Katie.

- Mogę ją potrzymać? - zapytała Louisa.

- Oczywiście. - Mia podała jej wyrywające się dziecko.

- Jaka słodka! Mam nadzieję, że nasze okaże się dziewczynką - szepnęła Louisa.

- Wasze? - podchwyciła Mia. - Może uchylisz rąbka tajemnicy?

Louisa, która wraz z synem i Elmerem, przybranym ojcem, bezproblemowo zaaklimatyzowała się w mieście, w zeszłym roku wprowadziła mieszkańców w prawdziwe poruszenie. Nieoczekiwanie odnalazł się ojciec jej syna, który dotychczas nie miał pojęcia o istnieniu dziecka. Na ich ślub nie trzeba było długo czekać.

- No więc - powoli zaczęła Louisa. Popatrzyła na męża, który uśmiechnął się i kiwnął głową. - Jeszcze nikt o tym nie wie, ale będziemy mieć dziecko. Za kilka miesięcy. - Delikatnie pogładziła się po płaskim jeszcze brzuszku.

- Aaron jest wniebowzięty - przyznał Joe. - Nie może się doczekać, kiedy zostanie starszym bratem.

- Moje gratulacje! - Mia serdecznie objęła trzymającą dziecko Louise.

- Gratulacje. - Mac klepnął Joego po plecach. - Jak sobie z tym radzisz?

- Boję się jak diabli - wyznał Joe. - Nigdy nie zamierzałem mieć dzieci, w ogóle nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Potem dowiedziałem się o Aaronie, a teraz o nowym dziecku. Ciągle nie mogę dojść do siebie, jestem pod wrażeniem. Mając Katie, sam wiesz, co to robi z człowiekiem. Przytłacza, a jednocześnie działa ożywczo.

- To nie to samo - zaproponował Mac. - Katie tak napraw - dę nie jest moja, to chwilowa odpowiedzialność. To nie to, co mieć własne dziecko.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy pochwycił pełne smutku spojrzenie Mii.

Zawsze tak patrzyła, gdy pojawiał się temat znalezienia dla Katie nowego domu.

Nie chce, żeby tak patrzyła.

Woli, gdy Mia drażni się z nim i droczy. To smutne spojrzenie robi wrażenie, że czuje się zawiedziona, że ją rozczarował. Choć nie ma żadnych podstaw, by czegoś po nim oczekiwać. Czyli nie może jej rozczarować.

Joe nieoczekiwanie zmienił temat. Spowaźniał.

- No to bierzmy się do roboty. Obejrzę Katie.

Nie trwało to długo. Katie okazała się zdrowym, pogodnym dzieckiem.

Mac odetchnął z ulgą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się niepokoił.

- Trzeba się jeszcze upewnić, czy miała wszystkie niezbędne szczepienia.

- Jej matka z pewnością tego dopilnowała - rzekł. - Była bardzo solidną osobą.

- Musisz też znaleźć dobrego pediatrę - radził Joe. - Pracowałem w szpitalu z Mavis Samuels. Jest świetnym lekarzem i ma wspaniały kontakt z dziećmi.

- Zadzwoń do niej od razu w przyszłym tygodniu - zapewnił.

- Może się czegoś napijecie? - zaproponowała Mia.

- Dzięki, ale nie - odmówiła Louisa. - Bardzo chętnie bym jeszcze została i pobawiła się z Katie, musimy jednak wracać. Elmer został z Aaronem, ale się śpieszy na randkę. Nie chcę przeciągać wizyty.

- Nadal spotyka się z Mabel? - zapytała Mia.

Mabel, zajmująca się akupunkturą, i Elmer stanowili gorący temat lokalnych plotek. Mieszkańcy życzliwie im kibicowali.

Niby spore miasto, a wszyscy wszystko wiedzą i doskonale się znają, zamyślił się Mac. Potrząsnął głową.

- Tak, romans się rozwija. - Louisa westchnęła z zadowoleniem. - Świetnie do siebie pasują. Elmer kwitnie. Nigdy go takim nie widziałam. Tak to jest, gdy ludziom się układa. Szczęście ich uskrzydla.

To stwierdzenie zwarzyło mu humor. Mia też miała nietęgą minę. Czemu? Oni nie mają żadnego układu. Zdarzyło się kilka pocałunków, to wszystko.

- Cieszę się, że tak im dobrze idzie - rzekła Mia.

- Ja też. - Louisa podniosła się i oddała Mii dziecko. - Elmer zasługuje na kogoś, z kim będzie szczęśliwy. Zresztą każdemu to się należy.

Zerknęła na męża. To jedno z tych spojrzeń zrozumiałych tylko dla najbliższej osoby. Nie raz widział takie spojrzenia wymieniane przez państwo Zumigala. Poczuli się jeszcze bardziej nieswojo.

Louisa się pożegnała.

- Jeszcze raz gratuluję - powiedziała Mia.

Słyszał, że ciąża odmienia kobiety. Jaśnieją wewnętrznym światłem. Nigdy nie zwracał na to szczególnej uwagi, ale teraz sam to dostrzegł. Louisa promieniała.

- To jak spełnienie marzeń - ciągnęła. - Znowu mam Joego, tworzymy rodzinę. Wszystko układa się tak cudownie, że aż się chwilami boję.

- Ale to chyba przyjemny lęk? - zapytała Mia.

- Najwspanialszy. Uwielbiam mój sklep, cieszę się, że dobrze idzie. Ale bez Joego i Aarona, a teraz jeszcze tego nowego dziecka, nic by dla mnie nie znaczył. Miłość, rodzina - to najważniejsze rzeczy. Bez nich życie nie ma smaku.

Przez cały ranek Mia rozważała w duchu jej słowa.

Po wyjściu Louisy i Joego pomogła Macowi położyć Katie, po czym szybko odjechała.

Nie chciała być z Macem sam na sam. Czuła, że potrzebny jej dystans. I czas, by przemyśleć sobie parę rzeczy. To, co dzieje się między nimi. Musiała zastanowić się, co to może znaczyć.

Chciała wyjść, ale nie przyszło jej to łatwo. Bo równie mocno chciała zostać. Być z nim, rozmawiać.

Trudno to wszystko pojąć.

W nocy prawie nie zmrużyła oka, jednak do niczego sensownego nie doszła. Gdy rano przyjechała do pracy, czuła się zmęczona i wytrącona z równowagi.

Drzwi były zamknięte. Jest pierwsza w firmie. To nawet dobrze, będzie miała chwilę spokoju dla siebie.

Otworzyła i weszła do cichej jak nigdy kancelarii. Zdjęła płaszcz. Nowy płaszcz. Niespodzianka od Maca. Jaka trafiona! Pewnie powinna zaoponować, nie przyjmując go tak od razu. To zbyt drogi i zbyt osobisty prezent.

Wieszała płaszcz do szafy, gdy z hukiem otworzyły się drzwi. Serce zabiło jej jak szalone. To chyba Mac z Katie. Odetchnęła, spostrzegłszy pomyłkę. To nie Mac. Przyszła Pearly Gates, największa plotkara w mieście.

- Doszły mnie pewne słuchy - zaczęła bez wstępów. Miała miękki głos z charakterystyczną dla Południa naleciałością. - Znasz mnie. Nie cierpię plotek... oczywiście tych, których sama nie rozpowszechniam. Ale do rzeczy. Co jest między tobą a Makiem? I co z tym jego dzieckiem?

Starsza pani usiadła tuż przy biurku Mii i popatrzyła na nią pytająco.

Mia usiadła. Z Pearly nie ma lekko. Nie wywinie się jej łatwo. Żadne wykręty nie pomogą. Jest jak pies myśliwski; gdy wpadnie na trop,

nie spocznie, póki nie wyciągnie wszystkiego, co się da.

- Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi: nic. Między mną a Makiem niczego nie ma. - Z wyjątkiem kilku pocałunków, o których nie zamierzam wspominać, dodała w duchu. - Co do drugiego pytania... Mac w zasadzie nie ma dziecka.

- Niby odpowiedziałas, ale te odpowiedzi pozostawiają wielki niedosyt. Takie krótkie wyjaśnienia mnie nie zadowolają. Chcę usłyszeć więcej, od początku do końca.

Mia westchnęła i zaczęła opowiadać jej całą historię. Wszystko, z wyjątkiem pocałunków.

- ... wreszcie śnieg przestał sypać i Mac odwiózł mnie do domu. Szuka rodziny adopcyjnej dla Katie. Póki nie znajdzie, zatrzyma Katie u siebie.

- Mac? - znacząco spytała Pearly. Nic nie uszło jej czujnej uwagi.

- Larry - poprawiła szybko Mia. - Pomagam Larry'emu.

- Pomagasz Larry'emu Mackenzie? - Pearly pokręciła głową. - W życiu bym w to nie uwierzyła, gdybym nie usłyszała tego bezpośrednio od ciebie.

- Ja też nie - przyznała Mia. - Dlatego powtarzam sobie, że nie pomagam Macowi, tylko pomagam przy Katie. To różnica. On jest duży, dość irytujący i trudno go polubić, natomiast Katie jest malutka, słodka i nie można jej nie pokochać.

- Znow powiedziałaś „Mac”. - Pearly nie dawała się zwieść.

- Słucham? - zapytała Mia, choć doskonale zrozumiała.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś mówiła na niego „Mac”. Aż do dzisiaj. I to dwa razy z rzędu. Wszyscy go tak nazywają, z wyjątkiem ciebie.

Do diabła!

Wzruszyła ramionami, zrobiła obojętną minę.

- Tak mi się powiedziało - odparła, siląc się na nonszalancję. Gdy go tu nie ma, nie wkurza ranie, dlatego czasami zapominam, by nazywać go „Larry”.

- Nie chodzi o to, jak go nazywasz. - Pearly popatrzyła na nią przebiegle. - Chodzi o ton, jakim o nim mówisz. Bardzo znaczący i dziwnie miękki. Takim tonem kobieta mówi o mężczyźnie, który ją całował.

- Pearly, nie żartuj! Prędzej mogłabym pocałować ropuchę niż jego.

- Ropuchy nie całowałaś, co do tego nie ma dwóch zdań. Za to całowałaś Maca.

- Nie.

Nie przyzna się. Zresztą taka jest prawda.

Wcale go nie pocałowała. To on ją pocałował.

A to jest różnica.

Duża różnica.

Ten drugi raz, kiedy się całowali, wcale się nie liczy.

- Opowiadałam ci, jak kiedyś nasza klasa zbierała pieniądze na szkolną wycieczkę, a ja odgrywałam rolę klasowej piękności? - nieoczekiwanie zmieniła temat Pearly.

Mia odetchnęła. Nareszcie przestaną mówić o Macu. Im bardziej się wykreca, tym bardziej się boi, że niechący się wygada.

- Nie - odparła. - Słyszałam wiele twoich historii, ale tej na pewno nie.

- Chcieliśmy zebrać pieniądze na wycieczkę do Atlanty. Och, co to

była za wyprawa!

- I co dalej? - Starsza pani miała skłonność do długich dygresji. Trzeba jej zawsze pilnować, by nie przeskakiwała z tematu na temat.

- Ach, no tak. To było podczas lokalnego festynu. Chłopcy mogli pocałować dziewczynę, ale nie za darmo, musieli wrzucić coś do puszki. Shirley namówiła mnie, bym też wzięła w tym udział. Najpierw nie chciałam, potem jednak się zgodziłam. Rozdałam wtedy ze sto buziaków. Ale tylko jeden naprawdę się liczył. Z Busterem McClinnonem. Z nim pierwszy raz się całowałam. Zawsze z sobą wojowaliśmy. Jednak gdy poczułam jego usta, nagle coś się ze mną zrobiło. Zapomniałam o naszych kłótniach.

Na chwilę umilkła, zagubiona we wspomnieniach. Przeniesiona w czasy, kiedy całowała się z chłopcem o imieniu Buster. Bardzo szybko otrząsnęła się ze wspomnień.

- Później próbowałam zrozumieć, czemu ten pocałunek był taki inny niż wszystkie.

- I do czego doszłaś? - zapytała Mia.

- Shirley na to wpadła. Powiedziała mi wtedy, że są różne pocałunki. Całujesz mamę, tatę, rodzeństwo i dalszą rodzinę. Całujesz przyjaciół. To całowanie z chłopakami tak naprawdę to była tylko zabawa, nic więcej.

Znowu miała niewidzące spojrzenie.

- Liczą się tylko te pocałunki, które pozostawiają ślad na twojej twarzy. Widzisz je w czyichś oczach, słyszysz w brzmieniu głosu. Takie jak twoje z Makiem. Moje z Busterem. Są wyjątkowe. Coś znaczą.

- Te z Makiem takie nie były. Nic nie znaczą.

- Aha! - Twarz Pearly zajaśniała triumfem. - Przyznałaś, że się z nim całowałaś.

Cholera!

Skoro Pearly się o tym dowiedziała, to w krótkim czasie całe miasto będzie o tym wiedzieć. Znając ją, może być tego pewna.

- Widzisz, a nie chciałaś się przyznać. Unikałaś odpowiedzi. I niepotrzebnie. Tworzycie piękną parę. Pasujecie do siebie. Uzupełniacie się.

- Nie mam ochoty z nikim się uzupełniać, a już zwłaszcza nie z Larrym Mackenzie. - Celowo powiedziała to z naciskiem. Larry, nie Mac. - Mam swoje plany. Wykraczające poza zakup nowego samochodu ze skórzaną tapicerką i podgrzewanymi fotelami. Chcę wrócić do przerwanej nauki.

Nim jej myśli pochłonęły rozważania na temat Maca i Katie, próbowała zaplanować swoją przyszłość, ustalić priorytety.

Teraz, gdy na głos oznajmiła, że wraca do szkoły, nabrała pewności. Tak, tak chce zrobić. To właściwy wybór.

Przerzuciła papiery na biurku, znalazła broszurkę i podała ją Pearly.

- Wracam na uczelnię, dokończę studia. Musiałam zrezygnować z nauki, by opłacić braciom szkoły. Teraz pora na mnie.

- To bardzo dobrze - szczerze powiedziała Pearly.

- To również znaczy, że nie mogę z nikim się wiązać - wolno dokończyła Mia.

- Niby dlaczego? - zdziwiła się Pearly.

- Bo nie będę miała na to czasu. Będę przecież pracować i jednocześnie studiować. Czyli będę bardzo zajęta. Zresztą nawet gdyby

było inaczej, na pewno nie wybrałabym M... - urwała i poprawiła się szybko: - Larry'ego. Bo byśmy się chyba pozabijali. Może o tym nie wiesz, ale żyjemy z sobą jak pies z kotem.

- Ta Shirley, o której wspominałam, też całowała się wtedy z chłopakami. Wiesz, kto ostatni stanął w kolejce? Stucky Peters. Przez całą szkołę się nie znosili. Ciagle z sobą walczyli I wtedy Stucky ją pocałował. Ale nie tak, jak inni. To był ten wyjątkowy pocałunek. Chłopaki zaczęli pohukiwać i gwizdać, ale Stucky dalej ją całował. To był dla nich punkt zwrotny. Czasami z pocałunkami tak bywa. Lekkie muśnięcie w policzek może wszystko zmienić.

- I co było dalej? - zapytała Mia.

- Udawali, że nic się nie zmieniło, że nadal się nie cierpią. Ale to było na pokaz. Wreszcie przestali udawać i... słyszałam, że mają teraz dwanaścioro wnucząt od czwórki dzieci.

- Tak na pewno nie będzie z Ma... Larrym i ze mną. - Myli się, bo zaczęła myśleć o nim bardziej jako o Macu niż o Larrym.

Imiona mają znaczenie. Zaczęła mówić „Mac”, i to od razu zmieniło ich układ. Za bardzo jak dla niej. Musi się stale napominać, by nadal był dla niej Larrym. By pamiętać, dlaczego ich znajomość tak się pogłębiła - z powodu Katie.

Gdy Mac znajdzie dla niej nowy dom, wszystko wróci do normy. Znowu będą działać sobie na nerwy.

I bardzo dobrze.

- Te pocałunki wyszły tak jakoś same z siebie - powiedziała. - Śnieżyca uwięziła nas w domu, z maleńkim dzieckiem. To na pewno się nie powtórzy, chyba żeby znowu były takie ekstremalne warunki.

Nie ma zamiaru mówić, że wczoraj wieczorem też go pocałowała, choć śnieg nie padał, a Katie spała jak suseł.

- Powiem ci... - zaczęła Pearly i zamilkła, bo drzwi nagle otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Mac. Niósł fotelik z dzieckiem.

- Stawisz dziś czoło wyzwaniu? - zapytał.

- Nie ma sprawy - odparła i uśmiechnęła się szeroko, bo Mac wyciągnął fotelik w jej stronę.

To uniesienie to z powodu Katie. Cieszy się, że będzie ją dziś miała. Wcale nie dlatego, że widzi Maca... to znaczy Larry'ego.

Absolutnie nie dlatego.

- Witaj, Pearly - odezwał się Mac. - Przyszłam zobaczyć twoje dzieciątko - wyjaśniła Pearly, biorąc od niego fotelik, nim Mia zdążyła zrobić krok.

- Nie moje - sprostował natychmiast. Zbyt szybko. - Rano muszę być w sądzie, ale jestem umówiony w czasie lunchu na wstępne rozmowy w sprawie adopcji. Znajdziemy dla niej wspaniałych rodziców.

Mia chciała zaoponować. Znaleźć powód, by jakoś go powstrzymać przed rozpoczęciem działań. Katie nie powinna trafić do obcych ludzi. Jej miejsce jest u Maca.

Pearly rozpięła śpiworek i zdjęła Katie czapkę.

- Ach, mój Boże, popatrzcie tylko na te włoski! - zachwyciła się. - Jaki piękny kolor! Co za śliczna panienska - przemawiała pieszczotliwie, wyjmując niemowlę z fotelika i biorąc je na ręce. - Jak możesz oddawać komuś takie Śliczności?

- Ona nigdy nie była moja, więc nie mów, że ją oddaję. Wypełniam tylko wolę jej matki... Prosiła, bym znalazł Katie dobry dom.

- A jeśli to u ciebie byłoby jej najlepiej? - zapytała Mia. Nie mogła się powstrzymać.

Mac się zaśmiał.

Nie był to wesoły śmiech. Brzmiała w nim inna nuta. Żalu i bólu.

Od samego początku upierał się, że nie weźmie Katie do siebie.

Dlaczego tak się zarzekał?

Na pewno nie chodzi o to, że jest dopiero na początku kariery zawodowej, nie ma czasu na dziecko. Za tym kryje się coś innego, coś bardziej osobistego.

- U mnie dziecku nigdy nie będzie dobrze, żadnemu dziecku - rzekł.

- No, muszę już pędzić. Dasz sobie radę? - Jasne - zapewniła Mia. - Nic się nie martw. Pan Leland tylko się ucieszy, że Katie znowu u nas jest.

Gdy wyszedł, Pearly przez kilka chwil się nie odzywała. Trzymała dziecko w ramionach i milczała. Milcząca Pearly... to się nie mieści w głowie.

- Katie jest śliczna - powiedziała wreszcie. - Łatwo stracić dla niej głowę.

- To prawda - przyznała Mia. - Bardzo łatwo.

- Czasami miłość taka jest. Przychodzi bez wysiłku. Tak łatwo, że nawet nie zdajesz sobie sprawy. Jednak czasami jest całkiem inaczej. Trzeba się bardzo starać. A nawet walczyć. Tylko że ta druga, według mnie, jest mocniejsza i trwalsza.

- Czy ja wiem? Bardzo pokochałam Katie, a przyszło mi to z łatwością, bez najmniejszego trudu.

- Wierzę. - Pearly podała jej małą. - Cóż, ja się zbieram. Miło mi było ją poznać. Pomyśl koniecznie nad tym, co ci powiedziałam.

- Dobrze, pomyślę - odparła Mia, delikatnie bujając na kolanach rozradowane dziecko.

Pocałowała Katie w czółko.

Tak łatwo ją pokochać. Bez starań, bez wysiłku.

Łatwa miłość.

Taką właśnie lubi najbardziej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez ten tydzień ustalił się pewien rytuał, uzmysłowił sobie Mac, gdy w piątek w południe wracał do kancelarii.

Dzieci Brigitty już wyzdrowiały, jednak nadal zabierał Katie do firmy i zostawiał pod opiekę Mii.

Mia z przyjemnością zajmowała się małą. Katie stała się maskotką całej kancelarii, wszyscy chętnie ją u siebie widzieli.

- Najgorszy jest pan Leland - z uśmiechem użalała się Mia. -
Chciałby mieć ją przy sobie cały czas.

Mia opiekowała się Katie w dzień, a po pracy we trójkę jechali do Maca. Przez ten jeden tydzień stało się to rutyną, bardzo miłą zresztą...

Taki układ mu odpowiadał.

Z niecierpliwością czekał na porę wspólnej kolacji. Przyjemnie było siedzieć z Mią przy kuchennym stole i dzielić się wydarzeniami dnia. Razem zajmować się Katie i cieszyć jej osiągnięciami.

Coraz bardziej się do tego przyzwyczajał. I było mu z tym dobrze.

Nie lubił tylko chwili, gdy Mia odjeżdżała na noc do siebie.

Nie był sam, miał przecież Katie, jednak po wyjściu Amelii dom stawał się dziwnie pusty. Co wieczór uświadamiał sobie, że jej nie pocałował.

A bardzo tego pragnął.

Za każdym razem, gdy się z nimi żegnała, korciło go, by wziąć ją w ramiona i pocałować tak, żeby zapamiętała.

I nie poprzestać na tym.

Jednak co wieczór ograniczał się do niewinnego cmoknięcia w policzek. Robił to świadomie. Mia nie jest z tych, które lekko podchodzą do takich rzeczy. Zrobiłby jej krzywdę. Jednak wyobraźni nie dawało się powstrzymać.

Wmawiał sobie, że ta fascynacja to wyraz wdzięczności za okazaną mu pomoc, jednak w głębi duszy podejrzewał, że kryje się za tym coś więcej.

I tego właśnie się bał.

Do tej pory spotykał się z dziewczynami, które miały podobne podejście jak on. Gdy romans się kończył, rozstawali się bez żalu, zachowując miłe wspomnienia.

Mia jest inna. Nie traktuje życia lekko, chce czegoś więcej. Dlatego musi uważać. I trzymać się od niej na odległość.

Uświadomił sobie, że przez całą drogę z sądu do firmy myśli tylko o

Mii i swoich uczuciach.

- Cześć! - powitała go z uśmiechem, gdy wszedł do kancelarii.

Celowo nie otrzepał butów ze śniegu, żeby ją rozzłościć, ale Mia była tak pochłonięta opowiadaniem mu o Katie, że nawet tego nie zauważyła. Czyli wcale jej nie zdenerwował.

- ...przez prawie cały dzień bawiła się z dziadkiem - podkreśliła to słowo - Lelandem. Gdy tylko odchodził, zaraz przychodził ktoś inny. Chyba muszę zrobić grafik i zaznaczać, kiedy kto może się z nią bawić. Mac przysłuchiwał się temu z uśmiechem. Nie odrywał jednak oczu od broszurki leżącej na jej biurku. Ulotka z uczelni.

- Co to takiego? - zapytał. Popatrzyła na biurko.

- Ach, to. Myślę o dokończeniu studiów.

- Czyli zrezygnujesz z pracy? - zapytał, zaskoczony rozczarowanym tonem, jakim to powiedział.

Mia chyba wcale nie zwróciła na to uwagi. Uśmiechnęła się.

- Nie. Mnie nie tak łatwo się pozbyć, Larry. Jeśli wrócę na studia, nadal będę pracować, bo muszę coś jeść.

Ucisk w piersi złagodniał. Nawet nie zdawał sobie sprawy, z jakim napięciem czekał na jej odpowiedź.

- Dziś zabieram Katie - rzekł krótko. Cieszy się, że Mia nie odejdzie z firmy, ale nie powie jej tego, bo może odebrać to niewłaściwie.

- Dlaczego? - popatrzyła na niego pytająco.

- Dziś jest pogrzeb jej mamy. - Nawet dla niego zabrzmiało to zbyt lakonicznie.

Mia zmieniła się na twarzy.

- Och tak? - W jej głosie zadźwięczało współczucie. - Nie

wiedziała, że to dzisiaj.

- Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj. Od pani z opieki społecznej. Szukali jakichś krewnych, ale nie znaleźli. Wiedziałem, że tak będzie. Przecież dlatego pani O'Keefe przyszła do mnie. Bo nie miała nikogo.

- Kto zajął się organizacją pogrzebu? - zapytała Mia. - Opieka społeczna?

- Ja. Nie mógł znieść myśli, że zostanie pochowana przez gminę. Że nikt nie przyjdzie na jej pogrzeb.

Nie znał jej, jednak podziwiał ją. Zajmie się nie tylko jej dzieckiem. Dopilnuje, by miała porządny pogrzeb.

- Ty? - zapytała Mia.

- Marion to mama Katie. Była dobrą matką. Martwiła się o przyszłość dziecka, nim jeszcze przyszło na świat. Należy się jej prawdziwy pogrzeb.

- Gdzie odbędzie się ceremonia?

- Będzie tylko złożenie do grobu. Nie wiem, czy Marion była osobą wierzącą. Pomyślałem, że najlepszym wyjściem będzie coś najbardziej prostego.

Mia skinęła głową.

- W takim razie kiedy i gdzie?

- Erie Cementery o dwunastej.

- To dobrze. Akurat mam przerwę na lunch. Przyjadę.

- Nie musisz - powiedział.

- Ty też nie musisz. W ogóle nie musisz niczego robić. Godzić się na zostanie prawnym opiekunem czyjegoś dziecka, zajmować się nim,

organizować pogrzeb swojej byłej klientki. Jednak robisz to. Więc ja też.

- Dzięki. - Ujął jej dłoń i uściśnął lekko. Mia uśmiechnęła się do niego.

- Miły z ciebie chłopak, Larry.

W jej tonie nie było nawet cienia złości czy jadu. Przeciwnie, jego imię zabrzmiało tym razem bardzo ciepło, niemal pieszczotliwie.

- Dziękuję, Mia. Ty też jesteś miłą dziewczyną.

Zdał sobie sprawę, że nadal trzyma jej dłoń. Cofnął rękę. - Mogę zostawić ci Katie jeszcze na chwilę? Wpadłbym tylko na górę wykonać kilka telefonów.

- Przecież nie musisz pytać. Jasne, że tak. - Umilkła. - Telefonów? W związku z adopcją?

- Nie.. Spotkałem się z ludźmi z agencji i mam mieszane uczucia. Na razie jeszcze się zastanawiam.

Papiery już są gotowe. Wystarczy podpisać i sprawa ruszy z miejsca.

Im szybciej to zrobi, tym szybciej Katie trafi do nowego domu. Tylko że ma coraz większe wątpliwości, czy agencja rzeczywiście znajdzie dla niej najlepszych rodziców.

Oczywiście, że może brać udział we wszystkich spotkaniach i rozmowach, jednak nigdy nie będzie miał stuprocentowej pewności, że wybrał najlepiej, jak mógł. Będzie zadrezczać się myślą, czy nowi rodzice na pewno nigdy jej nie zawiodą.

Bo tego by za nic nie chciał.

Musi być przekonany, że Katie trafi do właściwych ludzi.

Najlepszych.

- Zastanawiasz się, czy jej nie zatrzymać? - W głosie Mii zabrzmiała nadzieja.

- Nie. - Odwrócił się i bez słowa ruszył do schodów.

Nie ma recepty na zagwarantowanie Katie najlepszych rodziców, ale wie, że mała zasługuje na dużo więcej, niż on byłby w stanie jej dać.

Jednak znajdzie sposób, by trafiła do dobrego domu.

Odprawiała go wzrokiem. Jej pytanie wyraźnie wytrąciło go z równowagi. Jeszcze nie tak dawno byłaby z siebie bardzo zadowolona. Bo teraz nawet się nie starała go zdenerwować.

Popatrzyła na Katie drzemiącą w foteliku.

- Nie można za nim nadażyć. Nie chce cię zawieść, dlatego postanowił cię oddać. Gdzie tu sens?

Dziwny jest ten Mac. Nie może go zrozumieć. Za każdym razem, gdy już się jej wydaje, że coś jej świta, okazuje się, że wcale tak nie jest. Choć ten ostatni tydzień dał jej do myślenia. Poznała Maca od innej strony. Dlatego dalej próbuje go rozszyfrować.

Ale nie teraz. Teraz ma coś innego do zrobienia.

Mac raczej nie będzie zadowolony. Prośenie o pomoc czy wsparcie duchowe nie jest w jego stylu.

Ona jednak nie ma takich oporów.

Poprosi, a jeśli Mac się wścieknie, powie mu, że zrobiła to dla Katie.

Bo w głębi serca wie, że dla Katie Mac jest gotów na wszystko.

Przytulił opatulone dziecko do piersi i ruszył do samochodu.

Odwrócił się i jeszcze raz popatrzył do tyłu.

Sam nie wie, co o tym myśleć.

Jest coraz zimniej. Zapowiadają kolejną burzę. Ciemne ołowiane

chmury ścielą się nisko.

To nie jest pogoda zachęcająca do wyjścia na dwór.

A jednak na pogrzeb przybyło mnóstwo ludzi. Zrezygnowali z lunchu i przyszli pożegnać Marion O'Keefe.

Byli niemal wszyscy pracownicy kancelarii. I sporo osób z miasta. Pearly ze swoimi koleżankami. Libby, Josh, Louisa, Joe...

Przyszli oddać hołd kobiecie, której nigdy nie znali.

- Dzwoniłaś do nich? - zapytał Mię idącą obok niego.

- Nie złość się - powiedziała.

- Niepotrzebnie przychodzili. Ja... Nie dała mu dokończyć.

- Oczywiście, wiem. Wielki Larry Mackenzie nikogo nie potrzebuje i nikogo nie chce. Ale to nie było dla ciebie. To dla Katie. Któregoś dnia opowiesz jej o tym. O ludziach, którzy przyszli pożegnać jej mamę. Kwiatkach, jakie dla niej przynieśli. Becca z naszej kwaciarni przeszła samą siebie, w dodatku miała tak mało czasu.

Poruszył go widok tych niespodziewanych wiązanek. W zimowym śnieżnym krajobrazie budziły zdziwienie, wydawały się jak z innego świata.

- Będzie jej lżej, wiedząc, że tylu ludzi przyszło żegnać jej mamę, gdy ona była na to za mała - dodała cicho.

- Wiesz, nie pomyślałem o tym. Przyszli ze względu na Katie.

Popatrzył na grupki osób zmierzających do zaparkowanych samochodów.

Przyszli z powodu dziecka. To można zrozumieć.

- Nie. - Mia potrząsnęła głową. - Przyszli ze względu na ciebie.

- Na mnie? - Przypiął pasami fotelik z dzieckiem. Wyprostował się

i zamknął drzwi. Mia dotknęła dłonią
jego policzka.

- Mac, chyba nie zdajesz sobie sprawy, ilu masz przyjaciół. Ogarnął
go niepokój.

- Ja o nic nie prosiłem.

- Nie, ty nie. Nie zrobiłbyś tego. Ale ja tak. Dla Katie. Dla Marion
O'Keefe. To była wyjątkowa osoba.

Odetchnął trochę lżej. Ci wszyscy ludzie przyszli tu dla Marion i
Katie. Z tym dużo łatwiej się pogodzić niż z myślą, że zrobili to dla niego.

Nie chce mieć wobec nikogo żadnych zobowiązań. Bo otrzymując
coś, powinno dać się coś w zamian. On tego nie potrafi. Nie chce nikogo
zawieść, dlatego woli zawczasu się wycofać. Nie wchodzić w żadne
układy.

Nie chce być powodem czyjegoś rozczarowania, a wie, że nie
można na niego liczyć. Chyba ma to w genach. Stara się z tym walczyć,
ale daremnie. I brak mu wiary, że kiedyś zdoła pokonać własne lęki.
Dlatego od wszystkich trzyma się z daleka.

- Widziałem ją dwa razy, ale myślę, że masz rację. To była
wyjątkowa kobieta.

Wyjątkowa... Jak Mia. Ujął ją za rękę, uśmiechnął się do niej. Jest
wdzięczny za to, co zrobiła.

Odpowiedziała uśmiechem i lekko ścisnęła jego dłoń.

- Wracasz do firmy? - zapytała.

- Tak, mam mnóstwo pracy. Posiedzę nad papierami, może choć
trochę uda się załatwić. Co powiesz o wspólnej kolacji?

Pytał o to codziennie i codziennie czekał na odpowiedź z

zamierającym sercem.

- Bardzo chętnie - odparła. Odetchnął głęboko, uśmiechnął się.

- Dzisiaj ja coś przyrządzę - mówiła Mia. - Trzeba trochę odpocząć od jedzenia na wynos. - Możemy zatrzymać się po drodze i kupić tacosy. Wiem, że za nimi przepadasz.

Wiedział nawet, jakie smakują jej najbardziej. Z kurczakiem i wszystkimi dodatkami.

- Nawet najlepsze danie szybko ci zbrzydni, jeśli będziesz je jeść zbyt często. Gotowanie mi niestraszne. - Umilkła na chwilę. - Chyba nie obawiasz się moich kulinarnych wyczynów?

Wsiadł do samochodu. Mia już zapinała pas.

- Umiesz gotować? - zapytał, zręcznie unikając odpowiedzi na jej pytanie.

- Mam dwóch braci, którzy lubią zjeść. Oczywiście, że umiem gotować. Zabrałam dziś rano potrzebne produkty, mam je w samochodzie.

Pomyślała o tym już rano. Planowała, że spotkają się po pracy i pojedą do niego.

Robi to nie dla niego. Ze względu na Katie. Nie powinien się łudzić. Mia to robi tylko dla Katie.

Mimo tego zastrzeżenia uśmiechnął się.

- A co zaplanowałaś?

- Moją popisową zupę ziemniaczaną. Chyba że jej nie lubisz. W takim razie możemy kupić coś po drodze.

- Bardzo chętnie zjem zupę - przyznał. - W taki dzień jak dzisiaj trudno wyobrazić sobie coś lepszego.

- To co, widzimy się po pracy? - zapytała.

- Tak, po pracy. Wspaniale.

Nie z powodu zapowiedzianej zupy... dlatego, że zjedzą ją razem. Ten dobry nastrój powinien dać mu do myślenia, jednak nie ma zamiaru zmieniać dzisiejszych planów. Zresztą nic by go do tego nie zmusiło.

„Wielki Larry Mackenzie nikogo nie potrzebuje”.

Te słowa wymknęły się jej mimochodem, jednak teraz, gdy roztrząsała je w pamięci, ich przesłanie było stuprocentową prawdą.

Nawet szykując kolację, nie mogła o tym nie myśleć.

Mac ma jakieś opory przed zacieśnianiem więzi. Nawet nie to, że nie dopuszcza ich do siebie, trzyma się od nich na dystans. Wprawdzie często żartuje, wdaje się w wesołe pogawędki. Jednak jego poufałość ma granice.

W stosunku do niej jest taki sam. Choć znają się długo, czasem celowo przekomarzają, to wyczuwa jego rezerwę.

Nie opowiada o sobie. Z wyjątkiem jednej historyjki o zjeżdżaniu na sankach, nic jej o sobie nie powiedział. Czy to nie dziwne?

Energicznie zamieszała zupę. Świetne jedzenie na taki zimowy dzień. Proste i sycące.

- Chodź już, kolacja gotowa! - zawołała, nalewając zupę do dwóch talerzy. Postawiła je na stole, obok podpieczoną bagietkę i miseczkę z tartym serem.

- Och, jaki widok! - Mac wszedł do kuchni, niosąc na rękach Katie.

- Co za zapach! Chyba naprawdę umiesz gotować.

Jak przyjemnie było patrzeć na niego i ufnie wtuloną w niego Katie!

W stosunku do dziecka był inny, otwarty i bezgranicznie oddany.

Nie przyznawał się, ale Katie go zawojowała. Przepadł z kretesem.

- Może potrzynam ją, żebyś spokojnie zjadł? - zaproponowała.

- Nie, świetnie sobie z nią radzę. Gdybyś tylko posmarowała mi pieczywo, to mogę jeść jedną ręką.

Roześmiała się i podała mu posmarowaną kromkę. Mac spróbował zupy.

- Mniem, mniem. Nie oszukiwałaś. Naprawdę umiesz gotować.

- Już ci mówiłam, że musiałam nakarmić wiecznie głodnych braci.

Nie przyrządzam wyrafinowanych potraw, ale moimi daniami można się najść.

Przez kilka minut jedli w zgodnym milczeniu, ciszę przerywało tylko pogodne gaworzenie Katie, którą Mac trzymał na kolanach. Mia nie mogła się oprzeć, by od czasu do czasu nie zerkać z ukosa na tę dwójkę. Roztkliwiająca scena. Naprawdę do siebie pasują.

Dlaczego on tego nie widzi?

- Podjąłeś już jakieś kroki w sprawie adopcji? - zapytała.

- Na razie zrobiłem wstępne podejście, ale ciągle się waham. Mam wątpliwości, czy umieszczenie jej w obcej rodzinie to dobre wyjście. Najbardziej chciałbym znaleźć jej dom u kogoś, kogo znam. Mógłbym do niej przychodzić, być dobrym wujkiem. U ludzi, którzy.....

Urwał w pół słowa, jakby go olśniło.

- Mac? - zapytała Mia.

- Poczekaj, mam pomysł - rzekł z ożywieniem w głosie.

- Jaki? - Zaraz, najpierw muszę sam to sobie przemyśleć.

- No nie, Mac - naciskała.

Dopiero po chwili spojrzał na nią i zaśmiał się.

- Ostatnio dużo się o tobie dowiedziałem. Masz świetne podejście

do dzieci. Umiesz gotować. Ale cierpliwość nie jest twoją mocną stroną.

- To prawda, nie jest - przyznała.

Wie, że jest niecierpliwa, że czasami może być przez to męcząca.

Nie znosi jednak czekać. Jeśli jest taka możliwość, ukradkiem zagląda do gwiazdkowych prezentów.

- Niedługo ci powiem. Muszę tylko obmyślić to sobie na spokojnie, zastanowić się, czy to naprawdę może się udać.

Mia westchnęła ciężko.

- No dobrze.

- Pogadajmy o tej broszurce z uczelni.

- Zmieniasz temat.

Mac znowu się roześmiał.

- Owszem.

Miał nadspodziewanie dobry humor. To chyba ten nowy pomysł tak na niego podziałał.

- Opowiedz mi coś więcej - zasugerował.

- O czym tu mówić? Poważnie myślę o powrocie na studia.

Jesienią.

- Na studia dzienne? - zapytał.

- Nie, mogę przeznaczyć na nie tylko wieczory i weekendy.

Rozmawiałam już z panem Wagnerem. Zachęca mnie. Obiecuje, że postara mi się to ułatwić. Hanni i Liesl obiecały, że w razie potrzeby będą mnie zastępować.

- Dużo ci zostało do zaliczenia? - Jeden rok, a potem praktyki nauczycielskie. I koniec.

- Chcesz zostać nauczycielką? - zapytał wolno. Spodziewała się

jakiegoś żartu, ale zaskoczył ją.

- Sprawdzisz się w tym zawodzie - powiedział.

- Lubię dzieci. Kiedyś sama będę je mieć. Co najmniej trójkę albo czwórkę.

- Czwórkę? Roześmiała się.

- Wiem, że rodziny wielodzietne wychodzą z mody, ale nie wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym nie miała braci. Dlatego chcę, żeby moje dzieci miały rodzeństwo.

- Tyle poświęciłaś dla braci. Zrezygnowałaś z własnych planów, z nauki. Gdybyś była jedynaczką, nie musiałabyś się o nikogo martwić, tylko o siebie.

- Ty nie musisz się o nikogo martwić, ale nie masz nikogo oprócz siebie. Nie żałuję niczego, co zrobiłam dla braci. Chciałam dać im szansę, to im się należało.

- A ty? - nie zrażał się. - Co tobie się należało? Zdobyłaś się na tyle wyrzeczeń. Przerwałaś naukę, zrezygnowałaś z marzeń. Zasłużyłaś sobie na to?

- Z niczego nie zrezygnowałam, tylko przełożyłam na później. Teraz przyszedł czas, by realizować plany. Zdobędę dyplom, zacznę uczyć...

- Znajdziesz faceta, który nie będzie ciebie wart, wyjdiesz za niego, urodzisz dzieci i wszystkie twoje plany wezmą w łeb. Będziesz musiała ze wszystkiego zrezygnować. Tak to widzisz?

- Mac, jeśli kogoś kochasz i jesteś kochany, to z niczego nie musisz rezygnować. Coś tracisz, ale dostajesz dużo więcej. Dzięki mnie moi bracia pokończyli studia i to jest dla mnie ważne. Po śmierci mamy byłam

im potrzebna. I nie zawiedli się na mnie.

Nie wydawał się przekonany.

Współczuła mu. Być samotnym, zdanym tylko na siebie, bez nikogo, na kogo można liczyć. Nie chciałyby takiego życia. Nie mogłyby tak żyć.

- Ja gotowałam, więc ty sprzątasz. Przez ten czas pójde położyć Katie.

Mia może połączyć studia z pracą w kancelarii, ale gdy je skończy, zmieni pracę. Zamyślił się, myjąc naczynia.

Mia poszuka pracy w zawodzie. Wreszcie będzie mogła robić to, co zawsze chciała. Cieszy się, że w końcu tej dziewczynie się ułoży. Trzyma za nią kciuki.

Jednak będzie mu jej bardzo brakowało.

Dzięki niej w firmie jest weselej, wprowadza lżejszy nastrój. Oczywiście nigdy jej tego nie powie.

Droczą się ze sobą i kłócą nieustannie, ale to dodaje życiu blasku. Będzie mu tego brakowało.

Będzie mu jej brakowało.

Co się z nim porobiło?

Wytarł garnek i odłożył go na miejsce.

- Usnęła, nim położyłam ją do łóżeczka - powiedziała Mia.

Postawiła na stole elektroniczną nianię. - Obawiam się tylko, że jeszcze obudzi się na karmienie.

- Nie ma problemu. Staram się dać jej butelkę, nim sam pójde spać. Zwykle to wystarcza jej aż do rana. Lubię to nocne karmienie. Jest ciemno i cicho. Katie nauczyła się trzymać mnie za koszulę, kiedy ssie.

Jakby się bała, że się jej ukradkiem wymknę. Zreflektował się.

- Przepraszam, plotę trzy po trzy.

- Wcale nie. Miło czasem ujrzeć inną stronę twojej natury.

Popatrzyła na niego.

Tym spojrzeniem.

Widział je już wcześniej. I zawsze to źle wróżyło.

- Przestań - powiedział.

- Ale co?

- Patrzeć na mnie w ten sposób.

- W jaki sposób?

- Jakbyś chciała mnie cmoknąć. - Nie dość, że ona jego, to on ją również. I to bardzo.

- Kopnąć? - zapytała. - Jeśli wyglądam, jakbym chciała cię kopnąć, to nic na to nie mogę poradzić. Bo sam się o to prosisz.

Celowo udaje, że nie dosłyszała. Wie o tym. Ona również.

- Nie kopnąć, a cmoknąć - poprawił. - Chcesz mnie pocałować.

- Nie. Chcę wracać do domu i odpocząć.

- Nie możesz tutaj?

- W twoim towarzystwie to raczej trudne, a czasami wręcz niemożliwe.

- A jak myślisz, dlaczego tak jest?

- Bo jesteś niemożliwy?

- Nie. Nie możesz się przy mnie zrelaksować, bo chcesz mnie pocałować.

- Mac... - zaproponowała.

- Nie dał jej skończyć, bo zakrył wargami jej usta. Przywarła do

niego, zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek.

Całowała go coraz goręcej. Chwytał ją na ręce i zaniósł do salonu. Usiadł na kanapie, sadzając sobie Amelię na kolanach.

- Powinniśmy przestać - wyszeptała.

- Pewnie tak - przystał i znowu ją pocałował. Wsunął dłonie pod jej bluzkę i powoli przesunął nimi po gładkiej skórze. Wreszcie ma ją tak blisko, tak...

Nagle rozległo się żalosne kwilenie dziecka.

Oboje poderwali się raptownie. Mia zeskoczyła z kolan Maca, on wstał pośpiesznie.

- Lepiej zaraz idź do niej, a ja wracam do domu - powiedziała.

- Mia, musimy porozmawiać.

- Nie teraz. Później. Teraz ja muszę jechać, a ty idź do Katie.

Wybiegła z domu. Mac pobiegł na górę. Katie siedziała w łóżeczku, samotna i opuszczona w ciemnym pokoju.

Wyjął ją z łóżeczka i przytulił do piersi.

Wie, jak ona się teraz czuje.

Za każdym razem gdy Mia wychodziła, czuł się tak, jak teraz Katie.

Samotny i opuszczony.

I bardzo mu wtedy źle.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Głośny, niemilknący dzwonek wyrwał ją z głębokiego, niepokojącego snu. Upojny erotyczny sen, w którym Mac przesuwiał dłońią...

Znowu ten obrzydły dzwonek. Jeszcze dłuższy.

Powoli otworzyła oczy, popatrzyła na zegarek.

Dziesiąta?

Sobota, dziesiąta rano. I ktoś pod jej drzwiami.

Jęknęła i przykryła głowę poduszką. Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka. Przewracała się z boku na bok, a kiedy wreszcie usnęła, przyśnił się jej Mac.

Całowali się.

Były nie tylko pocałunki.

Jego ręce błądziły po jej ciele, poznawały je.

Jego ręce.

Jej ręce.

A potem...

To, co było potem, jeszcze bardziej niepokoiło i wytrącało z równowagi.

Tak jak ten dzwonek dzwoniący przeraźliwie i całkiem bez umiaru.

Świdruje w uszach. Nie może zaprzeczyć, że go pocałowała.

Udawać, że tego nie było.

Tak jak nie może udawać, że nie ma żadnego dzwonka.

Westchnęła, wreszcie wstała i naciągnęła na siebie szlafrok.

Podeszła do drzwi swego małego mieszkania na parterze. Uchyliła je i wyjrzała. Mruczając pod nosem, przymknęła je, by otworzyć łańcuch.

Zmierzyła gościa nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Niespodzianka - wesołym głosem powitał ją Mac.

W jednej ręce miał fotelik z Katie, w drugiej dyndała mu biała torba.

Wszedł do środka.

- To jak, jesteś gotowa? - zapytał beztrosko, radosny jak skowronek
Chyba celowo chce ją zdenerwować. Nachodzić człowieka z
samego rana. Ratuje go tylko to, że zabrał Katie. I ta zagadkowa biała
torba... wygląda, jakby było w niej coś godnego uwagi.

- Mia, budzę cię... jesteś gotowa? - zapytał ponownie.

- Gotowa wracać do łóżka - wymamrotała, nie odrywając oczu od
tej tajemniczej torby i zastanawiając się, co też może być w środku.

- Pytam, czy jesteś gotowa iść z Katie i ze mną? Mamy dla ciebie
niespodziankę. Dziś jest całkiem niezła pogoda, oczywiście jak na tę porę
roku. Kilka stopni powyżej zera. Od razu człowieka kusi, by wyjść na
dwór i zażyć trochę powietrza.

- Mnie taki dzień nastraja tylko do tego, żeby iść dalej spać. -
Przedtem oczywiście sprawdzając, co jest w tej torbie. Na pewno coś
pysznego. - Rano nie jesteś w najlepszej formie, co? - odkrywczo
stwierdził Pan Skowronek.

- Nie. - Torba przesunęła się w jej kierunku. Kusząco. Może to
bajgle?

Jeśli przyniósł też cynamonowy serek, to przebaczy mu to ranne
budzenie.

- Czy coś pomoże, gdy powiem, że mam pączki? Świeżutkie, prosto
z cukierni...

A, pączki!

Od razu buzia jej poweselała.

- Zależy jakie.

- Z czekoladowym kremem.

- No dobrze, to może skłoni mnie do wstania skoro świt w mój

wolny dzień.

- Oboje wiemy, że wodzenie cię na pokuszenie świetnie mi wychodzi - powiedział, kładąc torbę na stole. Zaczął rozbierać dziecko.

- Wnerwianie mnie, oto co ci wychodzi najlepiej - skwitowała, otwierając torbę. - Ambrozja - wymamrotała, wdychając słodki czekoladowy zapach. Wyjęła pączka.

- Skoro tak łatwo cię wnerwiam, to jak to się dzieje, że dajesz cię skusić? - zagadnął Mac, wyjmując Katie z fotelika.

- Larry... - zaczęła złowróżbnym tonem.

Nie mogła powiedzieć więcej, bo z lubością przelykała kęs słodkiego ciasta.

Zaśmiała się, widząc jego minę.

- Myślałem, że już przestałaś tak do mnie mówić - zamruczał niezadowolony. - Nigdy nie pozbywam się mojej broni. Po prostu teraz jestem bardziej dyskretna.

Zjadła resztę pączka i ruszyła do kuchni, by zrobić kawę. Mac posadził sobie Katie na kolanach.

Zadowolone dziecko gaworzyło wesoło. Mia sięgnęła po pączka.

- Hm - zamruczała z błogością. - Umiesz mnie rozzłościć, ale niespodzianki ci się udają.

- To żadna niespodzianka. To śniadanie. Mac był wyraźnie z siebie zadowolony.

- To gdzie ta niespodzianka? - zapytała z ciekawością.

- Pokażę ci, jak się ubierzesz.

- No nie wiem, Larry - zastanowiła się. - Jakoś podejrzanie patrzy ci z oczu. Zaczynam się niepokoić.

Nie tylko to budzi jej obawy, jest więcej powodów. Na przykład taki, że chętnie by teraz do niego podeszła i mocno pocałowała w policzek. I to ją o wiele bardziej niepokoi niż jego spojrzenie.

- Idź wziąć prysznic, to nie będziesz widzieć moich oczu.

- Dobrze. - Dokończyła pączka i poszła do łazienki, zastanawiając się po drodze, co też on knuje.

I mimo najlepszych chęci nie była w stanie powstrzymać się od nadziei, że może da jej buziaka. Albo dwa. Albo jeszcze coś więcej.

- No to dokąd jedziemy? - zapytała po raz enty.

- Nie ufasz mi? - odpowiedział pytaniem, robiąc minę niewiniątka.

- Tylko do pewnego stopnia, Larry - odparowała. W jej głosie nie było złości, co go ucieszyło.

- Już prawie jesteśmy na miejscu.

W sobotni poranek nawet zwykle zatłoczona główna ulica była przyjemnie pusta. Mac uśmiechał się szeroko. Przepęłniało go radosne podniecenie. Czuł się jak dziecko w Boże Narodzenie, czekające na prezenty od świętego Mikołaja.

- Zamknij oczy - powiedział.

- Larry, daj spokój - obruszyła się Mia.

- Zamknij.

Popatrzył na nią. Miała zamknięte oczy.

Cuda się jednak zdarzają.

Mia Gallagher zrobiła to, o co prosił.

- Jeszcze minutka - rzekł, wjeżdżając na parking. Zatrzymał samochód. - Nie otwieraj.

- Mac - niecierpliwiła się.

Nie przestając się uśmiechać, wysiadł, okrążył samochód i otworzył jej drzwi.

- Możesz wysiąść.

- A dziecko?

- Nigdzie nie idziemy. Katie może zostać. - Ale...

- Teraz otwórz oczy.

Podniosła powieki, rozejrzała się wokół, przeniosła wzrok na Maca i popatrzył na niego pytająco.

- Mówiłaś, że chcesz kupić samochód. Jak ten ci się podoba? Dżip Cherokee. Napęd na cztery koła, skórzana tapicerka, podgrzewane fotele, automatyczny zapłon. Dwuletni, czyli nie zupełnie nowy, ale w doskonałym stanie. Prawie nieużywany. Mój znajomy mówi, że właściciel wymienia auta co dwa lata. Są jak spod igły.

- Ale...

- Nie musisz się decydować. Ten samochód ma wszystko, co chciałaś mieć. Dlatego pomyślałem, że ci go pokażę, nim Frank wystawi go na sprzedaż.

- Skoro jeszcze nie jest na sprzedaż, to jak się o nim dowiedziałeś?

- Gdy usłyszałem, czego szukasz, zadzwoniłem do Franka, żeby dał mi znać, gdyby trafił się taki samochód.

Popatrzyła na auto.

- Sama nie wiem.

- Obejrzyj go. - Sięgnął do kieszeni. - Frank dał mi kluczyki.

- Zadałeś sobie tyle trudu, żeby tak to zaaranżować - powiedziała wolno. Popatrzyła na niego dziwnie.

- Nie aż tyle. - Zmieszał się. - Robiłem coś dla Franka i przy okazji

go zagadnąłem.

- Jakkolwiek było, to bardzo miłe z twojej strony. - Pokręciła głową. - Wiesz, Mac, jesteś... - urwała. - Chyba moglibyśmy się nim przejechać?

Szkoda, że nie dokończyła wcześniejszego zdania. Chętnie by się dowiedział, co o nim myśli. No ale przecież nie zapyta.

- Oczywiście. Pójdę tylko po Katie. Naciśnij ten guzik. Silnik zacznie pracować i włączy się ogrzewanie.

Zrobiła, jak powiedział. Samochód zamruczał.

- Teraz ten... To przycisk do podgrzewania przednich foteli. Mia nacisnęła guzik

Obserwowała, jak Mac starannie instaluje z tyłu fotelik z dzieckiem.

- Mia - zawołał. - Nie wsiadasz? - Już idę.

Usiadła za kierownicą, Mac zajął miejsce pasażera.

Westchnęła cichutko, zachwycona przyjemnie ciepłym fotelem.

Odwróciła się do Maca i uśmiechnęła.

Ten uśmiech rozbroił go, poruszył do głębi. Ledwie się pohamował, by nie przyciągnąć jej do siebie, przytulić mocno.

Rano, gdy wyciągnął ją z łóżka, wydała mu się urzekająca. W pogniecionym szlafroka, potargana, zajadająca pączka. Najchętniej by ją pocałował.

Tak samo, gdy się z nim droczy albo się z niego nabija. Chce ją wtedy całować. Albo coś więcej.

Dopiero teraz spostrzegł, że bezwiednie wziął ją za rękę. Ostatnio zdarza mu się to coraz częściej.

Szybko cofnął dłoń.

- Gotowa? - zapytał.

- Gdzie jedziemy?

- Gdzie chcesz. Frank będzie za jakąś godzinę. Do tej pory mamy czas na decyzję. Musisz się namyślić, czy go kupić.

- Dlaczego? - stropiła się.

- Dlaczego? Bo jeśli go nie zechcesz, Frank wystawi go na plac i pewnie od razu sprzeda. Jeśli postanowisz go kupić, od razu wypełnimy papiery.

- Nie. - Pokręciła głową. - Chciałam powiedzieć dlaczego tak się w to zaangażowałaś?

Niepotrzebnie tak na niego patrzy. Ciepło, łagodnie. Nie chce, by jej stosunek do niego się zmienił.

Nie chce mimowolnie jej dotykać.

Nie chce o niej śnić. Powstrzymywać się wciąż, by do niej nie zadzwonić.

Nie chce wyrywać się do niej, wyobrażać sobie jej uśmiechu. Patrzeć, jak się śmieje. Słyszeć jej śmiech.

Nie chce tego wszystkiego, ale niestety nic na to nie może poradzić.

Mógłby powtórzyć wcześniejsze ostrzeżenia, ale już raz go wyśmiała. Najgorsze zaś jest to, że jego nikt nie ostrzegał.

- To nie był żaden kłopot - powiedział po prostu. - Rozmawiałem z Frankiem i wspomniałem, że ktoś z moich znajomych szuka samochodu. Wyliczyłem, na czym ci zależy. Wczoraj wieczorem zadzwonił z informacją o tym aucie.

- Ale dlaczego to zrobiłeś? - naciskała.

- Nie wiem. Tylko nie dopatruj się w tym zbyt wiele - ostrzegł.

Spodziewał się, że zaraz roześmieje mu się w twarz, ale tak się nie stało. Mia wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Może chcę popatrzeć, jak Frank zdiera z ciebie pokazną prowizję? - Wrócił do ich wcześniejszego tonu.

- Raczej w to wątpię - odparła cicho.

- No dobrze. Przyjmijmy, że denerwuję się, gdy jeździsz tym swoim gruchotem na łysych oponach. Wolę, żebyś miała bardziej niezawodny środek lokomocji.

- Ale... - Dlaczego tak cię to niepokoi? Zobacz, Katie siedzi spokojnie, masz samochód ze wszystkimi bajerami. Zamiast mnie naciskać, ruszaj.

Posłała mu jeszcze jedno wymowne spojrzenie. Wyjechała z parkingu.

Mac zaczął nastawiać radio.

- Sprawdzam, jak działa - wyjaśnił.

Grające radio powstrzyma ją od pytań. Pytań, na które nie umiał odpowiedzieć.

- No i co myślisz? - zapytał Frank. No właśnie, co ona myśli?

Popatrzyła na Maca trzymającego Katie.

On naprawdę daje się lubić. Przyszło jej to z łatwością. Ale to nie wszystko. Jest coś więcej.

Goś znacznie głębszego.

Coś mocniejszego.

Coś jak... miłość.

Skąd nagle takie słowo?

Miłość?

Czyżby kochała Maca?

Westchnęła. Tak, taka jest prawda.

Kocha go.

To stało się nagle. Szarpała się z nim, potem zaczęła go lubić. I nawet się nie spostrzegła, jak wszystko się zmieniło.

I jak łatwo to się stało.

Ostrzegał ją, żeby przypadkiem się w nim nie zakochała. Wtedy go wyśmiała. Zapomniała, że ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni. Bo choć pokochanie Maca przyszło jej tak łatwo, to przekonać go, by dał się kochać, może okazać się bardzo trudne.

Czy podejmie takie wyzwanie?

- Mia - głos Maca wyrwał ją z tych rozmyślań. - I co ty na to?

- Biorę go.

Decyduje się na to auto. I na miłość do kogoś, kto może nigdy nie otworzy się na jej uczucie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W piątek rano Mac stanął przy biurku Mii. Miał dziwną minę. Jest zmieszany, gryzie się czymś?

Choć i tak jej nie przebije. To jej nie opuszczają rozterki.

Przez cały tydzień tak się czuje.

Mac nie przywoził Katie, zostawiał ją pod opieką Brigitte. Mia przyjeżdżała do pracy nowym samochodem, potem jechała do Maca, by pomóc mu przy dziecku. Wspólnie jedli wieczorny posiłek.

Każdy dzień był coraz trudniejszy. Bo zdawała sobie sprawę ze

swoich uczuć. I milczała.

Gdyby mogła liczyć na jego wzajemność, gdyby była jakaś nadzieja!

Teraz też tylko marzy, by dotknąć jego policzka, dodać mu otuchy. Jednak nie zrobi tego.

Zamiast tego gestu zapytała:

- Chcesz coś ode mnie? - Hm...

- Chcesz - rzekła domyślnie.

- Jutro rano wybieram się do Pittsburgha.

- I chciałbyś, żebym wzięła Katie? - Będzie ją mieć cały dzień tylko dla siebie, bez Maca, którego obecność budziła w niej napięcie.

Bardzo chętnie zostanie z małą.

Brakowało jej Katie. Teraz, kiedy widywała ją tylko wieczorami, coraz bardziej za nią tęskniła. W dodatku te wieczory nie były dla niej łatwe... Przez to, co czuje do Maca. Nie mogła się otrząsnąć, nawet przy Katie.

Perspektywa całego dnia sam na sam z niemowlęciem jest po prostu świetna.

- Nie - odparł, niwecząc jej plany. - Chciałbym, żebyś z nami pojechała. Będziesz miała okazję przetestować swój samochód na szosie.

- Czemu chcesz jechać akurat do Pittsburgha?

- Na obiad do państwa Zumigala. Ale jeśli masz inne plany, zrozumieć.

Nie mówi prawdy.

Widzi to wyraźnie.

Zaproszenie nie ma nic wspólnego z testowaniem auta.

Chce zabrać ją do państwa Zumigala. To ludzie, z którymi łączy go zagadkowy układ. Gdy o nich mówi, łagodnieje, nawet głos mu się zmienia.

Jest z nimi związany.

Na pozór Larry wydaje się duszą towarzystwa, ale to tylko wrażenie. Im bardziej go poznaje, tym bardziej to widzi. Nie ma zbyt wielu znajomych. W stosunku do innych trzyma się na dystans, nie dopuszcza ich bliżej.

Z państwem Zumigala jest inaczej, jest z nimi zżyty.

Chce ją z nimi poznać. Wstąpiła w nią nadzieja. Ten kontakt może być bardzo przydatny. Ujrzy Maca w otoczeniu bliskich mu osób. To powinno być dla niej cenną wskazówką, jak do niego dotrzeć... jeśli to w ogóle możliwe.

- Z przyjemnością do nich pojedę, jeśli to wypada. I chętnie wypróbuję samochód na autostradzie.

- Katie nie przepada za jazdą, dlatego pomyślałem, że warto połączyć siły i pojechać we trójkę.

Jej uśmiech nieco zgasł.

Nie zabiera jej, by wprowadzić ją w krąg bliskich sobie ludzi, by lepiej go poznała. Robi to wyłącznie ze względów praktycznych.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- To o której?

- Czy ósma nie będzie za wcześnie? Jazda potrwa jakieś dwie i pół godziny.

- Nie, to w sam raz.

Denerwowała się, czekając na Maca i Katie. Dziś będzie miała

okazję poznać ludzi, z którymi Mac czuje się bardzo związany. Obserwując ich, może odkryje sposób, jak skruszyć mur, którym otoczył się Mac.

Niewykluczone, że dojdzie do całkiem innych wniosków. Że jej uczucia nie są takie, jak myśli. Spędzili z sobą dużo czasu i to stąd jej fascynacja. Gdy dla Katie znajdą się nowi rodzice i przestanie widywać się z Macem, może emocje opadną.

Wtedy przekona się, że to nie była miłość. Że tylko się jej tak wydawało.

Choć jakoś nie może w to uwierzyć.

Bo uczucie, jakie ją przepelnia, staje się coraz silniej - sze. Bez wyraźnych powodów. Właściwie składają się na to różne drobne rzeczy. Drobne, ale przemawiające za Macem. Kupił jej płaszcz, wyszukał dla niej samochód... sposób, w jaki odnosi się do Katie, społeczna praca na rzecz dzieci.

Byłoby jej łatwiej, gdyby to uczucie okazało się jedynie grą wyobraźni. Jednak tak nie jest.

Mac podjechał pod dom. Zarzuciła na siebie płaszcz i wybiegła na ulicę.

- Zaskoczyłaś mnie. Większość kobiet każe na siebie czekać - powiedział, odpinając fotelik z Katie.

- Nie jestem większością kobiet - odparowała natychmiast ze śmiechem.

Spodziewała się żartobliwej repliki, ale on tylko popatrzył na nią jakoś inaczej i rzekł:

- Nie, nie jesteś.

Przełożył fotelik z dzieckiem do jej samochodu, a sam zajął miejsce pasażera.

Gdy ruszyli, Katie niemal natychmiast usnęła.

Mac milczał.

Ona też się nie odzywała. Patrzyła na krajobrazy za oknem. Dopiero po jakimś czasie przerwała ciszę.

- No to opowiedz mi coś o swoich znajomych. Zastanawiała się, czy Mac zechce wprowadzić ją w swoje sprawy.

W zasadzie unikał mówienia o sobie i swojej przeszłości.

Opowiedział historię o zjeżdżaniu z Chetem na materacu, wspomniał raz, że mieszkał u nich, gdy chodził do liceum. To chyba wszystko. Nie wdawał się w szczegóły. Szanuje jego prawo do prywatności, jednak chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej. Mac nie odpowiedział. Więc naciskała go dalej.

- Mieszkałeś u nich, gdy chodziłeś do liceum, prawda? To rodzice twojego przyjaciela?

- Tak.

- Jacy oni są? - Popatrzyła na niego. Miał niewidzące spojrzenie, jakby cofnął się myślami w przeszłość.

- Pan Z. jest bardzo spokojnym człowiekiem - przełamał się wreszcie. - Rzadko otwiera usta. Pewnie dlatego gdy coś powie, wszyscy go uważnie słuchają.

- A pani Zumigala?

- Ona nie należy do spokojnych osób. Popatrzyła na niego z ukosa.

Uśmiechał się.

- W pewnym sensie jesteś do niej bardzo podobna - dorzucił.

- Chcesz powiedzieć, że nie jestem spokojna? Grzeczny sposób dania do zrozumienia, że mam buzię od ucha do ucha?

- Podejrzewasz mnie o grzeczność? - Zaśmiał się. - Nie. Chodziło mi o to, że nim cię poznałem, pani Z. była jedyną osobą, która nie bała się mi przygadać.

- Często musiała to robić? - zapytała. Mac się roześmiał.

- Nawet sobie nie wyobrażasz. - Zaczął przywoływać historyjki ze swojej młodości.

Jednak wkrótce umilkł. Nie chciał dalej tego ciągnąć.

Podjechała pod biały piętrowy dom. Nad bramą garażu kosz do siatkówki, wokół domu drewniane ogrodzenie, starannie utrzymany ogródek, sporo zieleni. Od pierwszej chwili dom robi bardzo przyjemne wrażenie.

Ciekawe, czy Mac i Chet grali tu w piłkę.

Popatrzyła na niego.

Tak, na pewno tak.

Po lewej stronie rosło spore drzewo. Teraz na tle nieba ciemniały nagie gałęzie, ale w lecie z pewnością daje miły cień. Oczami wyobraźni niemal widziała Maca siedzącego w miłym cieniu.

- Dobrze być w do... - Mac urwał i dokończył; - tutaj. To bardzo znaczące zdanie.

Wysiedli z samochodu. Podczas gdy Mac wyjmował fotelik z dzieckiem, Mia zastanawiała się nad jego słowami.

Nie zdążyła dojść do żadnych wniosków, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i z domu wybiegła w ich stronę ciemnowłosa pani.

- Mac! - zawołała, uśmiechając się promiennie. Uścisnęła go

serdecznie.

- Dlaczego wychodzisz bez płaszcza? - zamruczał.

- Mac ma bzika na punkcie płaszczy - ze śmiechem powiedziała

Mia.

Kobieta odwróciła się i omiotła ją szybkim spojrzeniem.

- Mia, jak się domyślam.

- Do tego się przyznaję. Ale do niczego więcej, co Mac o mnie naopowiadał. On lubi przesadzać.

- Powiedział, że bez ciebie nie dałby sobie rady.

- A nie mówiłam, że przesadza? Doskonale sam sobie radzi, nikogo nie potrzebuje.

- To ciekawa rozmowa - wtrącił Mac - ale może zaniesiemy dziecko do środka? - Och, ale się zagadałam! - zreflektowała się pani Zumigala.

- Oczywiście, chodźmy do domu.

Ponagliła ich, by weszli. Szybko zamknęła drzwi.

- Dajcie mi płaszcze. - Powiesiła je do szafy i zawołała:

- Sal, już są!

Pan Zumigala był niższy od Maca i cięższy. Miał bardzo miły uśmiech.

- Dobrze, że jesteś, synu - powitał Maca.

- Ja też się cieszę.

- Chodźmy do salonu - zaproponowała pani Zumigala.

- Miło mi cię widzieć, Mac, ale nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę maleństwo.

Mia wprawnie wyjęła Katie z fotelika. Zachwyтом pani Zumigala nie było końca.

- Jest śliczna! - Wyciągnęła do niej ramiona. - Mogę ją potrzymać?
Mac podał jej Katie i uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że tak będzie.

- Uwielbiam takie maleństwa - wymruczała pani Z., pieszczotliwie przemawiając do niemowlęcia. Katie odpowiedziała radosnym gulgotaniem.

- Ona też cię lubi.

Uwagę Mii przyciągnął pierścionek pani Z.

- Bardzo piękny pierścionek - rzekła z podziwem. Pani Zumigala odpowiedziała uśmiechem.

- To od Sala, z okazji naszej ostatniej rocznicy. To węzeł celtycki.

Posłała mężowi pełne uczucia spojrzenie. Mac i państwo Zumigala wdali się w pogaduszki. Mia usiadła i z ciekawością ich obserwowała.

Tematy dotyczyły zwyczajnych spraw, ale ją uderzyło coś innego. Mac zachowywał się inaczej niż zwykle. Był bardziej naturalny, bardziej otwarty. Nie uciekał się do żartów czy niedomówień, mówił szczerze.

Są bardzo z sobą związani. Jak ten węzeł na pierścionku.

Są jedną rodziną.

Pani Zumigala z ociąganiem oddała jej Katie, by zająć się podaniem obiadu.

Przy stole Mia trzymała dziecko. Świetnie sobie radziła, bujając Katie na kolanie i utrzymując ją w bezpiecznej odległości od talerza.

- Wspaniale ci idzie - z uznaniem powiedziała pani Zumigala. - Pamiętam, jak Chet był taki mały. Strasznie chciał mnie karmić.

- Katie też by chciała! - zaśmiała się Mia. - Już to przerobiliśmy. Któregoś wieczoru ściągnęła mi na kolana cały talerz. Dlatego wolę

trzymać ją z daleka. Ta pieczeń tak mi smakuje, że nie chcę jej stracić.

- Dziękuję. Lubię gotować. Bardzo ubolewam, że chłopcy już z nami nie mieszkają. To co innego, gdy gotuję tylko dla nas dwojga.

- Może powinnaś mieć więcej dzieci - rzekł Mac. Pani Zumigala roześmiała się wesoło.

- Widać nie było mi to pisane. Po chwili podniosła się od stołu.

- Pozbieram talerze i zabierzemy się do deseru. Upiekłam ciasto czekoladowe. Ulubiony deser Maca. - Nim przejdziemy do deseru, chciałbym zamienić z wami parę słów - rzekł Mac. - Mia, mogłabyś na chwilę zostawić nas samych? - zapytał.

Mia podniosła dziecko.

- Jasne. Pójdziemy sobie z Katie do salonu. Uśmiechnęła się i wyszła z jadalni.

Mac odpowiedział jej uśmiechem. Może nie powinien jej tutaj zapraszać, ale potrzebował jej wsparcia. Jej uśmiechu, świadomości, że jest w pobliżu.

- Co się stało, synu? - zapytał pan Zumigala, gdy zostali sami.

- Ja... - nagle zabrakło mu słów.

Tyle razy powtarzał sobie w duchu, jak przedstawi cały problem, wyliczając kolejne argumenty przemawiające za jego rozwiązaniem. Jakby szykował sobie mowę sądową. Tylko że w sądzie nigdy nie brakowało mu języka. Teraz, gdy państwo Zumigala czekają na to, co ma im do powiedzenia, nagle nie może się zdecydować.

- Chodzi o Katie - rzekł wreszcie.

- Och, skarbie - zaszczębiotała pani Zumigala. - Jakaż to śliczna dziewczuszka! Nic dziwnego, że cię zawojowała. Bardzo się z tego

cieszymy. Od lat powtarzam, że powinieneś już mieć rodzinę, nieprawdaż, Sal?

Pan Z. skinął głową.

- Ja? - Mac popatrzył na nich z niedowierzaniem. - Myślicie, że chcę zatrzymać Katie u siebie?

- A nie? - Uśmiech pani Z. zbladł. - Przecież nikomu jej nie oddasz. Obserwowałam, jak się z nią obchodzisz. I z Mią. Wspaniale do siebie pasujecie. Cała trójka. Już jesteście rodziną. - Nie. - Powiedział to z większą stanowczością, niż zamierzał. Rodzina nie jest mu pisana. Doskonale to wie.

Przypuszczał, że pani Z. też zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie - powtórzył, tym razem łagodniej. - Mia jest dobrą znajomą. Przyjaciółką. Jeszcze kilka tygodni temu na pewno bym tak o niej nie powiedział, ale tak jest. Mogę na niej polegać. Co do Katie, masz rację. Straciłem dla niej głowę. Jednak nie zatrzymam jej, bo chcę dla niej jak najlepiej. Ja nie nadaję się na rodzica.

W milczeniu czekali na ciąg dalszy.

Zawsze umieli słuchać.

I cierpliwie czekać.

Gdy wprowadził się pod ich dach, dali mu czas. Czekali, aż poczuje się jak u siebie, zrozumie, że naprawdę im na nim zależy. Cierpliwie czekali, aż odkryje swoje mocne strony. Do niczego go nie zmuszali. Pokazywali mu drogę, ale to on dokonywał wyboru. Ufali mu.

Teraz w milczeniu na niego patrzyli. Z ufnością.

- To o Katie chciałem z wami pomówić - zagaił. Znowu zabrakło mu słów. Zaskakujące, bo nigdy nie miał

takich problemów.

- Chcę wam zaproponować, byście ją adoptowali - wyrzucił z siebie wreszcie. I szybko, zanim zdążyli otworzyć usta, dodał: - Chcę, żeby jej życie ułożyło się jak najlepiej. Nawet gdybym przez długie miesiące szukał odpowiednich ludzi, to nigdy nie znajdę lepszych niż wy. Bo wy...

Umilkł. Tym razem nie brakowało mu słów, ale coś dławilo go w gardle.

- Nie musieliście brać mnie pod swój dach. Zrobiliście to jednak. Wyciągnęliście do mnie rękę. I nigdy nie daliście mi odczuć, że jestem dla was ciężarem.

- W tej chwili przestań! Bo jak jeszcze coś powiesz, to zaraz cię trzepnę! - ostrzegawczo powiedziała pani Z.

To była jej ulubiona groźba, gdy on i Chet jeszcze chodzili do szkoły. Choć pani Z. nawet domowej muchy by nie „trzepnęła”. Zawsze się śmieli, gdy to słyszeli. Tym razem Mac też się uśmiechnął.

- Posłuchaj no mnie - powiedziała, celując w niego palcem. - Może to jeszcze do ciebie nie dotarło, więc powiem to krótko i węzłowato. Nigdy nie byłeś dla nas ciężarem. Zapamiętaj to sobie. Byłeś naszą radością. Gdy tylko cię poznałam, wiedziałam, że jesteś wyjątkowy. Bardzo przeżywałam, gdy po pobycie u nas miałeś wrócić do swojej cioci, bo już mogła wyjść ze szpitala. Odetchnęłam dopiero wtedy, gdy zdecydowała się przenieść na stałe do koleżanki na Florydę i zgodziła się, żebyś został u nas. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczyło. Wreszcie mogłeś być moim dzieckiem.

Uderzyła się w piersi.

- Moim dzieckiem. Wiem, nie urodziłam cię, ale dla mnie byłeś

takim samym synem jak Chet. Możesz mówić o mnie „pani Z.” i chyba nigdy w ten sposób nie pomyślisz, ale ja czuję się twoją matką. Dla mnie jesteś synem. I tak było od dnia, kiedy tutaj zamieszkałeś.

Obronny gestem skrzyżowała ramiona. Jakby się obawiała, że Mac zaprotestuje. Nie zrobił tego. Nie mógłby. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Już wcześniej mówiła mu, że go kocha, ale nigdy do końca w to nie wierzył. Zawsze czuł się jak piąte koło u wozu.

Mówiła, że go kocha. Dla wszystkich miała serce. Bo już ma taką naturę.

Jednak pasja, z jaką wypowiedziała teraz te słowa, świadczy o czymś więcej. O głębokim, szczerym uczuciu.

- Oboje z Salem marzyliśmy o dużej rodzinie, ale nic z tego nie wyszło. Ileż razy zastanawialiśmy się, dlaczego los nie dał nam więcej dzieci! Kiedy zjawiłeś się ty, przyjąłem cię jak syna. Zrozumiałam, że rodzina to nie dzieci, które się urodzi. Rodzinę trzeba stworzyć. Ty stałeś się dla nas członkiem rodziny.

Dławiło go w gardle, ale przemógł się.

- Może tak samo jest z Katie? Też wejdzie do rodziny?

- Oczywiście, że tak - odparła pani Z. - Wiem o tym od momentu, kiedy ją zobaczyłam, tak samo jak z tobą. Takie rzeczy czuje się od razu.

Odetchnął nieco lżej.

- To znaczy, że ją weźmiecie.

- Nie - zaprzeczyła.

- Nie? - zapytał. - Ale przecież...

- Jest członkiem rodziny. Kocham ją, ale nie mogę jej adoptować.

Nie jestem już taka szybka i sprawna jak kiedyś, a z małym dzieckiem

trzeba mieć uszy i oczy na czubku głowy. Popatrz na te jej płomienne loczki i błysk w oku. Ta mała będzie żywym srebrem. Nie dałabym rady jej upilnować.

- Nie rozumiem.

Wzbierało w nim zniechęcenie i frustracja. Był taki zadowolony, że znalazł cudowne rozwiązanie. Pewny, że zaadoptują Katie. Jego przecież przyjęli. A Katie łatwiej pokochać niż jego.

- Nie zaadoptujemy jej - ciągnęła pani Z. - Ale od dawna marzymy o wnukach, prawda, Sal?

Pan Z. skinął głową.

- I pierwsze wnuczę już jest w naszym salonie. Będę ją rozpieszczać bez umiaru. Jak każdy dobry ojciec będziesz próbował mnie powstrzymać, ale nic z tego. Rozpuszczę ją jak dziadowski bicz.

- Nie mogę być jej ojcem - powiedział Mac. Już raz to samo powiedział Mii, teraz im. To samo powtarzał sobie, setki razy.

Nie może być ojcem Katie.

Ani jej.

Ani nikogo innego.

- Niby dlaczego? - zapytała pani Z.

- Popatrz na moich rodziców, moją rodzinę. Nie nadaję się do tej roli. Moi rodzice mnie zostawili, ciocia nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie uwolni się ode mnie. Jesteśmy nieodpowiedzialni. Mamy to w genach.

- Ty jesteś zupełnie inny niż oni. Zero podobieństwa - stanowczo rzekła pani Z. - Sądziłam, że sam już dawno to zrozumiałeś. Ci, którzy powołali cię na świat, chcieli tylko brać. Nie lubię źle mówić o innych,

ale nie mam o nich dobrego zdania. Dałeś im swoją miłość, a oni nie potrafili tego docenić. Ty jesteś z tych, co lubią dawać. Masz bardzo dobre serce. Jak mało kto.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - przemówił pan Z. - Widziałem, jak przez lata dźwigasz to brzemie. Jesteś bystry, dlatego uważałem, że sam dojdiesz do właściwych wniosków. Teraz widzę, że tak się nie stało. Więc powiem ci to wprost. Jesteś ulepiony z zupełnie innej gliny niż twoi rodzice. Pani Z. pokiwała głową.

- Pamiętasz, jak po pierwszym semestrze przyniosłeś mi swoje oceny?

Nigdy nie zapomni tamtego dnia.

- Popatrzyłaś na stopnie, a potem na mnie. Widziałem, że jesteś rozczarowana. Zapytałaś, czy to wszystko, na co mnie stać.

- A ty odrzekłeś, że nie - dokończyła. - Tłumaczyłam ci wtedy, że oceny są ważne, bo otwierają przed tobą możliwości. Można prześlizgnąć się przez kolejne klasy, po prostu. Ale marnuje się swoje szanse. Jeśli zapragniesz zostać neurochirurgiem, masz zamkniętą drogę. Bo ze złymi stopniami nie pójdziesz dalej. Dobre oceny otwierają ci drzwi, masz wybór. Zależało mi, żebyś mógł sam wybrać swoją drogę. Wysłuchałeś mnie i od tamtej pory zawsze miałeś bardzo dobre stopnie. Dostałeś stypendium z uczelni, skończyłeś prawo. Byłam z ciebie bardzo, bardzo dumna.

Robiło mu się ciepło na sercu. Była z niego dumna.

- Martwiło mnie tylko - ciągnęła pani Z. - że przez kolejne lata zamykałeś się przed ludźmi, przed osobistymi wyborami. Tak jak teraz z Katie. Może to przeznaczenie. Może nie chodzi o to, byś znalazł jej dom,

lecz by stała się częścią twojej rodziny, przed którą tak się bronisz.

- Mac - rzekł pan Z. - Jesteś moim synem. Nie mógłbym bardziej cię kochać czy bardziej być z ciebie dumny, gdybym był twoim biologicznym ojcem. Jesteś dzielnym człowiekiem, odważnym. Nie cofniesz się, choć się lękasz. Dostałeś wielki dar od losu. To dziecko jest takim darem.

- Tak samo jak Mia - dodała pani Z.

- Ale ja... - zaczął Mac.

- Teraz nie podejmuj żadnych decyzji. Przemyśl to sobie, synu. Masz wybór... jeśli się nie ulęknieš i wykorzystasz wspaniałą szansę, jaką podsuwa ci los.

Pani Z. uścisnęła go serdecznie. Mocno.

- Ale bez względu na to, co wybierzesz, jesteś moim synem.

Pamiętaj o tym. Bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też... - Urwał. Słowo, które tak bardzo chciał powiedzieć, dławilo go w gardle.

- Mamo - wyszeptał. I dodał głośnie: - Ja też cię kocham, mamusiu.

Pani Z. zaniosała się płaczem. Szlochała, a łzy płynęły jej po policzkach.

- Przepraszam. Nie powinienem...

Podniosła na niego oczy mokre od łez. I popatrzyła na niego po swojemu.

- Nawet nie śmieć przeproszać. Tyle lat czekałam, żebyś tak do mnie powiedział.

- Słucham?

- Mac, jak na takiego bystrego chłopca, czasami jesteś bardzo

niedomyślny. - Wyjęła chusteczkę i otarła oczy. - Co tylko świadczy, ile dla mnie znaczysz. Bo mimo tej twojej okazjonalnej tępoty, bardzo cię kocham.

Pan Z. klepnął Maca po plecach. - Ja też. - Dzięki... tato. Pan Z. rozpromienił się w uśmiechu. - A co do Katie...

- Nie teraz. Ani słowa więcej. Rozważysz to sobie na spokojnie, zastanowisz nad rozwiązaniem. I wybierzesz najlepsze. Na pewno tak będzie. Daj sobie tylko czas.

- Ale...

- Chodźmy teraz do Mii i Katie, bo jeszcze sobie pomyślą, że je zostawiliśmy na dobre. - Pocałowała go w policzek. - Czekoladowe ciasto czeka.

Domyślał się, że Mia jest bardzo ciekawa, o czym rozmawiał z gospodarzami, jednak o nic go nie pytała. Droga powrotna upływała w milczeniu. Katie prawie przez cały czas spała.

Mac wyglądał przez okno, rozważając w duchu słowa pani Z. Mamy.

Zatrzymać Katie u siebie?

Sam nie wie. Z jednej strony chce tego, bo nie wyobraża sobie, że mógłby ją komuś oddać.

Kocha to małeństwo. Jest tego pewien. Ale wciąż wątpi, że byłby dla niej rodzicem najlepszym z możliwych.

A Mia?

Obserwował ją ukradkiem.

Jej bracia właśnie się usamodzielnili. Teraz Mia może zacząć myśleć o sobie. Realizować własne plany. Nowy samochód to pierwszy

krok Chce wrócić na studia, zrobić dyplom. Nie będzie mieć czasu na związek. Zresztą on wcale nie chce się z nią wiązać.

Dopiero teraz spostrzegł, że już są na miejscu. Mia wyłączyła silnik, popatrzyła na Maca. Z wielką powagą.

- Mae, muszę ci coś powiedzieć. Coś, co raczej nie będzie po twojej myśli.

- Widać dziś taki dzień, że ciągle ktoś mówi mi coś, czego być może nie chciałbym słyszeć. Więc śmiało.

- Mówiłeś mi kiedyś o swoich rodzicach. Powiedziałaś, że nie chcesz mieć dzieci, bo obawiasz się, że okażesz się taki jak oni. Nie pytałam cię wtedy o nic. Dziś już nie muszę. Bo poznałam twoich rodziców... prawdziwych rodziców. Przykro mi, ale niechcący usłyszałam waszą rozmowę. Dlatego coś ci powiem. Rodzinę tworzą nie więzy krwi, ale miłość. Państwo Zumigala to twoi rodzice. Jeśli dasz Katie połowę miłości, jaką oni dali tobie, to będzie naprawdę bardzo szczęśliwa.

Pochyliła się, musnęła go w policzek i pośpiesznie wysiadła, nim zdołał cokolwiek powiedzieć.

Zniknęła w drzwiach budynku.

Przełożył fotelik z dzieckiem do swojego samochodu. Jadąc do domu, zastanawiał się nad tym, co dzisiaj usłyszał.

Rodzina.

Wcześniej nigdy tak tego nie widział. Nie próbował definiować.

Uważał, że decydującą rolę odgrywają geny. Łut szczęścia. Jemu tego akurat zabrakło.

Jednak potem trafił pod dach państwa Z. Powiedziała prawdę - zawsze traktowali go jak syna. Tak samo Chet. Odnosił się do niego jak

do brata.

To on wciąż był nieufny. On trzymał się na dystans. Nie pokazywali tego po sobie, nie zwracali uwagi. Robili swoje, stopniowo przełamując jego bariery.

Dziś pani Z. przełamała ostatnią. Jest jego mamą, tak jak powiedziała. Mamą pod każdym względem.

Mia też ma rację. Gdyby mógł choć w połowie być takim rodzicem jak oni, to Katie będzie dobrze.

Naraz spłynęło na niego olśnienie. Przecież to nie wszystko, przecież on chce... chce zatrzymać Katie. Mieć szansę obserwować, jak się zmienia, jak dorasta.

Może nie będzie najlepszym ojcem, ale nigdy nie znajdzie kogoś, kto będzie ją kochał jak on.

To dlatego tak opornie szło mu szukanie dla niej nowych rodziców. Bo podświadomie nie chciał jej nikomu oddawać.

Bardzo pragnie ją zatrzymać.

Ale Katie powinna mieć nie tylko ojca.

Powinna mieć pełną rodzinę. Powinna...

Mia.

Teraz to sobie uzmysłowił. Mia. Ona jest mu potrzebna. Czuje się z nią związany. Wmawiał sobie, że to tylko fizyczna fascynacja, jednak to coś więcej.

Chce, by stała się częścią jego rodziny, bo - teraz to, co wcześniej nie przechodziło mu przez gardło, stało się niewypowiedziane jasne i proste - bo ją kocha. Chce być z nią. Nie dlatego, by była mamą dla Katie. Chce być z Mią.

Mia Gallagher.

Chce, by pomogła mu wychować Katie. Mieć z nią dzieci. Dzieci, które będą uśmiechać się jak ona.

Chce iść z nią przez życie.

Nie tylko tego chce. Potrzebuje jej.

Kocha ją.

Ale Mia ma swoje własne plany. Wreszcie odchowala braci. Wróci na studia, zacznie spełniać swoje marzenia. Czy może jej to odebrać?

Czy ma moralne prawo prosić ją, by została jego żoną, mamą Katie? Tak ciężko pracowała i tyle czekała, by wreszcie zacząć żyć po swojemu, odnaleźć swoją szansę.

Nie znajdował na to odpowiedzi.

- Sam nie wiem, co robić - powiedział do śpiącego dziecka.

Dziwne. Zawsze doskonale wiedział, na czym mu zależy, czego chce. Teraz jest jak dziecko we mgle.

- Jednego jestem pewien. Nie będę już szukać żadnej rodziny adopcyjnej. Jesteś moja. Wiem, czasem kiepsko pogrywam, ale przyrzekam, że zawsze będę cię kochać i bardzo się starać.

To najlepsze, co może dla niej zrobić. Pozostaje tylko jedno pytanie. Co dobrego może zrobić dla Mii?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez cały weekend myślała w kółko o tym, co mu powiedziała. Mówiła szczerze. Mac byłby wspaniałym ojcem. Cóż z tego, skoro na pewno jej nie uwierzył. Jest uparty i nie daje się przekonać.

Stawiał sprawę jasno, Od początku. Uprzedzał, żeby przypadkiem się w nim nie zakochała, I że nie zatrzyma u siebie Katie.

Nie może go zmusić, by ją pokochał. Ale to nie osłabi jej uczucia.

Nie wpłynie na niego, by zmienił decyzję co do Katie. Jednak jest inne wyjście. Wyjście, które samo się nasuwa.

Jeśli Mac nie chce zająć się dzieckiem, ona to zrobi.

Aż dziwne, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała.

Zaadoptuje Katie.

Weźmie ją pod swoje skrzydła, otoczy miłością.

Mac nadal będzie miał kontakt z Katie. I z nią.

Na pewno nie zgodzi się łatwo. Jest uparty jak mało kto. Nie będzie chciał, by Katie wychowywała się w niepełnej rodzinie. Ale jakoś go przekona.

W razie czego zadzwoni do pani Zumigala. Ona na pewno stanie po jej stronie. Z czasem Mac zrozumie, że tak miało być, że Katie jest jej przeznaczona. I może też kiedyś pojmie, że jest mu przypisana rola ojca Katie... i że powinni być razem.

Podjęła decyzję. Tylko jak mu to przedstawić? Od czego zacząć?

Nie obejdzie się bez dyskusji, to oczywiste. Nie dorasta do obrazu idealnych rodziców, jakich wymarzył sobie dla Katie. Jednak wie jedno: nikt nie pokocha Katie tak mocno i bez zastrzeżeń jak ona.

To ma swoją wagę... chyba?

W niedzielne popołudnie zadzwoniła do drzwi Maca. Po drodze kupiła kanapki z pieczonym rostbefem.

Była spięta. Ledwie tknęła kanapkę. Katie wesoło kręciła się na jej kolanach, nieświadoma tego, że zaraz będzie rozstrzygać się sprawa jej

przyszłości.

- Mac - zagaiła Mia.

Nie odpowiedział. Znowu wpatrywał się w widok za oknem. Przez cały czas, odkąd przyszła, jest jakiś nieobecny.

- Mac? - powtórzyła.

- Przepraszam. Zamyśliłem się.

- Nic się nie stało? Jesteś jakiś roztargniony.

- Nie, nic.

Nie dała się zwieść. Jako prawnik umie maskować swoje uczucia, ale zna go na tyle dobrze, że widzi, kiedy coś jest nie tak. Od tego obiadu u rodziców jest odmieniony. Wyciszony, skupiony na własnych myślach.

- Nie możesz się pogodzić, że oni nie chcieli wziąć Katie.

- Liczyłem na to. To byłoby optymalne rozwiązanie.

- Wiem. Przez całą noc zastanawiałam się nad tym. I mam pewien pomysł. W pierwszej chwili pewnie nie przypadnie ci do gustu, dlatego proszę, byś najpierw mnie wysłuchał, a dopiero potem komentował.

- Jaki pomysł? - Nagle stał się czujny.

Obawiała się, że gdy tylko usłyszy pierwsze słowa, nie da jej skończyć.

- Obiecuj, że usiądziesz i w spokoju posłuchasz.

- Dobrze.

Mia czekała.

Westchnął i uniósł prawą rękę.

- Obiecuję.

Uśmiechnęła się, nabrała powietrza i wypaliła:

- Znalazłam idealne miejsce dla Katie.

- Przecież mówiłaś, że najlepiej będzie jej u mnie.

- Ale ty jej nie chcesz. Więc wymyśliłam coś innego. Oddaj mi ją na wychowanie.

Czekała na gwałtowny sprzeciw, ale Mac dotrzymał słowa. Siedział, wpatrując się w nią w milczeniu i czekając na ciąg dalszy.

- Wiem, że chciałaś umieścić ją w pełnej rodzinie, by miała oboje rodziców, ale rozważ moją propozycję. Zgódź się, bym ją adoptowała. Wiem, że to nie będzie takie łatwe, ale ja... już mam pewne doświadczenie. Nie mam wielkich pieniędzy, ale Katie na pewno nie zabraknie miłości. Mac, chcę ją wziąć. Nie wiem, jak cię przekonać, co więcej powiedzieć. Czuję się z nią związana. Jeśli trafi do kogoś innego, przez całe życie będę za nią tęsknić. I rozpaczać. Bo nikt nie pokocha jej tak mocno jak ja. Może dostałaby więcej w sensie materialnym, ale ja daję jej serce. - A co z pracą? Jak połączysz pracę z opieką nad niemowlęciem?

- Znajdę kogoś. Wiem, że to nie jest najlepsze rozwiązanie, ale jakoś będzie. Rozmawiałam rano z Brigitte. Chętnie się nią zajmie. Sam wiesz, jak bardzo lubi takie maleństwa. Moi bracia też ją pokochają. Katie będzie miała wspaniałych wujków. W jakimś stopniu zastąpią jej tatę.

- Mia, a co z twoimi planami? - zapytał cicho. - Samochód już masz, ale co będzie ze szkołą? Miałaś wreszcie zacząć żyć dla siebie. Zasłużyłaś sobie na to. Wychowałaś braci, pora pomyśleć o sobie. O swoich marzeniach.

- Tak myślałam, ale to się zmieniło. Katie jest ucieleśnieniem moich marzeń. Chcę być jej mamą. A studia... jeszcze zdążę je skończyć. Na naukę nigdy nie jest za późno. Wrócę na uczelnię, gdy będę na to

gotowa.

- Jeśli wciąż będziesz odsuwać swoje marzenia na dalszy plan, by poświęcić się dla innych, to może się okazać, że w końcu zabraknie ci czasu na ich realizację. Najpierw ważniejsi byli bracia, teraz Katie.

- No i trudno, widać tak musi być. Już raz ci mówiłam, że gdy kogoś kochasz, to nic nie jest dla ciebie wyrzeczeniem. Kocham moich braci, kocham Katie. Jeśli wrócę na studia, nie będę przez to szczęśliwsza. Pomogą mi w sensie zawodowym, ale to wszystko. Szczęśliwa będę dzięki Katie.

Byłaby wprawdzie jeszcze szczęśliwsza, gdyby miała i jego, ale tego mu przecież nie powie. On nie ma takich pragnień, wypowiedział się jednoznacznie. Podobnie jak nie chce zatrzymać Katie. Chciałaby przebić się przez mur, jaki wznosił wokół siebie. Może z czasem jej się to uda, może nie. Ale jeśli jest choć cień szansy, spróbuje.

- Proszę, zgódź się. To będzie spełnienie jednego z największych marzeń.

- Jednego? Masz jeszcze inne? - zapytał. Tylko jedno, ciebie, wyszeptała w duchu.

- Chciałabym skończyć studia - rzekła. - I zrobię to. Wiem o tym.

- To wszystko?

- Marzenia to bardzo osobiste sprawy. Mam jeszcze jedno, ale jest bez szans. Niestety. Więc nie robię sobie nadziei. Ale bycie mamą Katie jest jak najbardziej realne.

Pokręcił głową. Serce w niej zamarło. Nie zgodzi się.

- Chciałbym powiedzieć „tak” - odezwał się cicho. - Ale nie mogę. Już znalazłem dla niej rodzinę. Obiecałem.

- Och tak... - Czuła łzy pod powiekami.

- Nie płacz - odezwał się zmienionym głosem. Otarł łzę z jej policzka. - Proszę.

- Przepraszam. - Wytarła oczy. - Robisz, co według ciebie jest dla niej najlepsze. Chcesz dla niej tradycyjnej, stabilnej rodziny.

Sam nigdy tego nie miał. Rodzice go zostawili. Dlatego z taką desperacją pragnie uchronić przed tym Katie. By nigdy nie czuła się gorsza i osamotniona.

Rozumie go, ale serce jej pęka.

- Opowiedz mi o rodzinie dla Katie - wyszeptała,

- Nie jest doskonała, ale przez to wymarzona dla Katie - zaczął. -

Przez te kilka tygodni wiele się nauczyłem. Teraz widzę, co dla człowieka jest najważniejsze, czym w istocie jest prawdziwa rodzina. Jest coś ważniejszego niż więzy krwi, liczy się miłość. To ona zbliża ludzi, ona cementuje rodzinę. Tak było u państwa Zumigala. I taką rodzinę znalazłem dla Katie. Jej nowy ojciec jest obciążony emocjonalnie, ale da sobie z tym radę. A nowa mama... jest prawie idealna. Rodzina jest dla niej najważniejsza. Nie myśli o sobie, tylko o innych. Taka sama będzie w stosunku do Katie. Już ją pokochała... reszta będzie dodatkowym plusem. Katie będzie mieć mamę i tatę, a niedługo może też rodzeństwo. Dom pełen miłości. To chcę jej dać.

Pragnie dla niej tego samego. Kocha ją, dlatego jest gotowa zrezygnować z marzenia.

- Masz rację. Zapowiada się wspaniale. Kiedy ją oddajesz? Bo...

- Nie oddaję.

- Jak to? Przecież powiedziałeś...

- Powiedziałem, że znalazłem dla niej idealną rodzinę. Bo tak jest. -
Sięgnął do kieszeni, otworzył pudełeczko. - Kupię ci brylant czy co tam
zechcesz, ale pragnąłem dać ci ten pierścionek, prosząc o twoją rękę.
Wybraliśmy go wczoraj z Katie, gdy jechaliśmy od ciebie.

- Mac? - Głos jej się łamał.

- To taki sam pierścionek jak pani Z. Opowiedziała mi o węźle
celtyckim, to stara legenda. Ten węzeł symbolizuje dwa splecione życia.
W naszym przypadku to nie dwa, a trzy. Kocham cię. Prędzej czy później
to by się stało. Prosiłbym cię o rękę, nawet gdyby nie pojawiła się Katie.

Popatrzyła na niego pytająco. Roześmiał się. - No dobrze, może by
to trwało dłużej. Katie wszystko przyśpieszyła. Zrozumiałem, że cię
kocham. Jesteśmy rodziną. Tak było nam przeznaczone. Ty i ja...
jesteśmy sobie pisani.

- Jesteś pewien? Mówiłeś...

- Mówiłem wiele rzeczy, ale nigdy nie powiedziałem żadnej
kobiecie, że ją kocham. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to się
stanie. Ale też nigdy nie przypuszczałem, że będę ojcem. Teraz odkryłem,
że tak jest. Czuję się ojcem Katie. Jest moją córką. Częścią mnie samego.
Częścią ciebie. Jesteśmy ze sobą na zawsze związani, tak jak ten węzeł.
Chcę, żeby tak już zostało.

- Ja też - powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję. Pocałowała go.
Katie, ściśnięta między nimi, śmiała się radośnie. - To ty jesteś moim
największym marzeniem. Choć nie myślałam, że to marzenie kiedyś się
spełni.

- Tak?

- Tak. Wyjdę za ciebie. Chcę być twoją żoną, chcę być mamą dla

Katie.

- A co ze studiami?

- Kiedyś je skończę. Może zapiszę się na jakiś przedmiot, zacznę od jesiennego semestru.

- Tym sposobem będziesz studiować bardzo długo.

- Chcę zostać w domu z dziećmi. Póki będą małe. Gdy podrosną, dokończę studia i znajdę pracę.

- Z dziećmi? - zapytał cicho.

- Z dziećmi. Co najmniej dwoje lub troje. Chyba chcesz mieć nad garażem kosz do koszykówki, jak u twoich rodziców? Poznasz moich braci. Uważają się za moich obrońców, więc na początku mogą być szorstcy, ale pokochają cię. To jest rodzina. I...

- Mia, to wszystko pięknie - rzekł cicho, przesuając palcem po jej policzku. - Ale teraz przestań już mówić i pocałuj mnie.

- Z przyjemnością, Larry. - Przytulając do siebie Katie, pochyliła się ku niemu.

Pocałunek, który nie tylko pieczętuje ich słowa. Pocałunek, który czyni z nich rodzinę.

EPILOG

- Katie, zatrzymaj się! - zawołała Mia.

Przycisnęła mocniej malutką Merry i rzuciła się za dziewczynką.

- Dobrze wiesz, że nie można podjeżdżać tak blisko ulicy!

Przestraszyłaś mnie.

- Przepraszam, mamusiu - wyszeptała Katie. Zeskoczyła z rowerka i

objęła mamę. Pod dom podjechał Mac.

- Tata! - wykrzyknęła Katie.

- Jak się ma moja dziewczynka? - zapytał, biorąc ją na ręce i idąc do Mii po zasłanym zabawkami trawniku.

- Dobrze, tatusiu, tylko nie mogę podjeżdżać rowerem blisko ulicy.

- Masz rację - przyznał z powagą. Popatrzył na żonę. Gdy Mac tak na nią patrzy, zawsze brakuje jej tchu.

- Jak miewa się moja Merry Maid Marion? - zapytał miękko.

Mia przesunęła palcami po loczkach malutkiej córeczki. Nosi imię po mamie Katie.

- Jak zawsze słodka.

- Ja nie jestem słodka, tatusiu - powiedziała Katie, zginając rączkę i napinając mięśnie. - Jestem silna. - Jesteś bardzo silna. - Pocałował ją i uśmiechnął się do Mii. - Rodzice dzwoniли na komórkę. Będą za pół godziny.

- Baba i dziadzia! - wykrzyknęła Katie. - Ile to jest pół godziny?

- Niedługo - ze śmiechem zapewnił ją Mac. - Przyjedzie jeszcze wujek Chet, wujek Marty i wujek Ryan.

- Och, jak ja to lubię! - cieszyła się Katie. - Ja zdmuchnę świece i dostanę prezenty i...

Mia z uśmiechem przysłuchiwała się paplaninie małej. Obchodzą dziś z Makiem drugą rocznicę. Dwa lata temu pobraли się i oficjalnie zostali rodzicami Katie.

- Wspaniały dzień - rzekł Mac, z uśmiechem patrząc na swoją rodzinę. - I jeszcze wiele takich przed nami.

Mia popatrzyła na Maca i Katie, przytuliła mocniej malutką Merry.

To jej rodzina.

Rodzina zbudowana na tym, co najważniejsze... na głębokiej miłości.

scandalous